



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 8 stron

Warszawa, 17 lutego 1952 r.

Nr 7 (99) Rok III

W NUMERZE m. in.: Tadeusz Breza, Jerzy Broszkiewicz — Głosy o projekcie Konstytucji; Wisława Szymborska — Miłość Marii i Piotra Curie; Wiktor Woroszyński — Towarzysz Lucjan; Adolf Sowiński — Pierwsza recenzja o „Starym i Nowym”; Ryszard Matuszewski — Siedemdziesięcioletnia młodość; Wilhelm Mach — Jak Józef Madej poznał Lucjana Rudnickiego; Lucjan Rudnicki — Wiedeńska edukacja; Egon Naganowski — Droga pisarska Anny Seghers; Jan Lenica — Refleksje pozjazdowe; Zofia Nałkowska — Nowy schemat czy stara sztampa?; Wawrzyniec Żuławski — Rok pracy orkiestry Filharmonii Warszawskiej; Stanisław Dygat — O „Syrenie“ na serio.

Mundur, buty, ubrania

Latem roku 1944, na krótko przed wyzwoleniem miasta, maszerował przez ulicę Chelma pluton egzekucyjny SS. Mimo że wiatr zza Bugu puchniał już radzieckim prochem, mimo że każda noc siała z nieba „pachochrony”, pluton egzekucyjny SS prawidłowym tupaniem i doskonale tępym wyrazem twarzy demonstrował wzorową dyscyplinę katowską. Na placu targowym, koło cmentarza, rozstrzelano polskich zakładników, przeważnie komunistów. Była to prawdopodobnie ostatnia „planowa” wykonana egzekucja.

W tym czasie dane mi było słyszeć maty „wykład polityczny” pijanego zandarma hitlerowskiego. „Iwan przychodzi zniszczyć Polskę i jej kościół. Niemcy stąd odejdą. Skończy się w o l n o ś Polaków.”

Przez osiem lat amerykański imperializm oraz jego wyznawcy, mówiący po polsku, na próżno starali się znaleźć lepszy ideał „wolności Polaków”. Ostatnio prasa polska przedrukowała szereg cytatów z emigracyjnej „Kultury”. Nie warto ich powtarzać. Dowiedzieliśmy się, że „jeżeli ma być wojna... i jeśli zakończy się ona zwycięstwem Zachodu... między zwycięzcami będą Niemcy — a między porażonymi Polacy”. Imperializm „atlantyki” nie wymyślił rzeczywiście nic mądrego, niż pijany zandarm Hitlera. Adenauer, przygotowując delegację KPD, nie zdobywa się na mistyfikacje sprytniejsze od goebbelskich.

Dziś w Niemczech Zachodnich zaalarmowały umysł i serce każdego pracującego człowieka w Polsce. Przez kraj przesłała fala zebrań masowych, manifestacji i wieców. Podczas okupacji szubienice i salwy egzekucyjne nie osłabiały walki narodu polskiego, ale tę walkę rozdzierały. Gdy dziś były dyktando hitlerowski sędzia mundur i nabija gwoździe do butów zmartwychwstałego SS, polski człowiek pracy staje się tylko czujniejszy, bardziej świadomy i ofiarniejszy. Lepiej rozumie, o co chodzi.

Ale co myśli o tych mundurach i butach człowiek niemiecki? Latem roku 1951 poeta Kurt Bartel (Kuba) opowiadał mi na ten temat pouczającą historię.

— Jeździłem do Zachodnich Niemiec — mówił — z wieczorami autorskim. W pewnym mieście postarano się o to, bym spotkał zyciowego audytora. Stanąwszy na estradzie ustyszałem z miejsca „he-raus mit Iwan!”, tupanie i zajadłe pogwizdy. Czekając cierpliwie, aż się uciszy, a tymczasem wpatrzyłem sobie najgorliwszego krzykacza. Uspokoilo się. „Ej — wolam — ty tam w granatowym garniturze, powiedz bracie, ile ci zapłacił, żebyś tu przyszedł mnie wyguzdzać? Pięć marek, nie więcej. Ale garnitur masz lepszy ode mnie. Prawda? Ja jestem laureatem nagrody państwowej NRD, a ty płatnym bojówkarzem. Jest jednak między nami jeszcze inna różnica. Ja za swoje ubranie już zapłaciłem, a ty dostajesz je na kredyt. „Co? — krzyczy tamten. — Przecież ja też zapłaciłem”. „O nie — odpowiadam — będziesz dopiero płacił. Ale nie markami. Krwią. Pewnego dnia zdejdziesz z ciebie twój piękny garnitur i przebiorą cię w mundur. Potem pojedziesz do Wietnamu. Każą ci zabijać Wietnamczyków, podobnie jak kazali ci tu wrzeszczeć. I będziesz zabijał Wietnamczyków. A kiedy, ranny, dostaniesz się do niewoli, Wietnamczycy cię wyleczą. Dowiesz się, że możesz jechać do Niemiec. I wtedy właśnie nie zechcesz wrócić do starego zajęcia, nie zechcesz wrócić do granatowego ubrania, ani do munduru. Zechcesz wrócić do ojczyzny. Spotkamy się w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Tyle, że moja droga jest bliższa: tysiąc kilometrów. A twoja to kilkanaście tysięcy kilometrów”. Potem — kończył Kuba — mówiłem jeszcze ze dwie godziny. Nikt nie gwizdał.

Polska opinia publiczna powinna sobie uświadomić jedno: naród niemiecki w swojej masie nie chce ani remilitaryzacji, ani wojny. Zwolennikami jej są — na ogół biorąc — tylko osoby w randze generałów i pułkowników. A tych, jak wiadomo, nie ma wielu.

Bertold Brecht pisał swego czasu: „Generale, twój bombowierz jest silny. Leci szybciej niż burza, niesie więcej niż słoń. Ale ma jedną wadę: potrzebuje pilota. Generale, człowiek to rzecz wielce pożyteczna. Może latać i może zabijać. Ale ma jedną wadę: może myśleć”.

Komunistyczna Partia Niemiec, zdelegalizowana czy nie — nieupatliwie mu w tym pomoże.

Jacek Becheński

STANISŁAW EHRlich

BILANS I WYTYCZNA

Niesposób zawrzeć w kilkuset wierszach całego bogactwa zagadnień, które stawia przed nami projekt konstytucji. Bo też w karty jej wpisano kawał życia każdego z nas. Siedem trudnych lat podsumowuje konstytucja. Siedem lat od owych krwawych dni, kiedy Armia Czerwona wyzwoliła nasz kraj. Siedem lat nasyconych przeobrażeniami tak wielkimi, że w życiu narodu stanowią epokę.

Klasa robotnicza w sojuszu z chłopstwem pracującym ujęła władzę w kraju i sojusz ten stał się niewzruszoną podstawą władzy ludowej, podstawą naszego ustroju państwowego.

Wypleniliśmy w tym czasie pozostałości feudalnych stosunków społecznych, to znaczy została zlikwidowana klasa obszarników. Dokonane zostało dzieło stanowiące, właściwie, zadanie rewolucji burżuazyjnej. Burżuazja polska, jednak, w obawie przed masami ludowymi zdobyła się jedynie na półowiczną, chromającą reformę rolną, której zresztą nigdy do końca nie doprowadziła.

Nasza reforma rolna, podjęta bezpośrednio po wyzwoleniu kraju, miała radykalny, rewolucyjny charakter. Masy chłopskie, które budziła podziemna działalność rad narodowych, na słowa Manifestu Lipcowego odpowiedziały samorządną, żywiołową przeprowadzoną reformą rolną.

Taki sam żywiołowy przebieg miała nacjonalizacja fabryk, hut, kopalni, które uruchamiały i odbudowywały patriotyzm robotników. Znikła klasa kapitalistów.

W wyniku tych rewolucyjnych przeobrażeń wzrosło niepomierne mienie ogólnonarodowe. Objęło ono „złoża mineralne, wody, lasy państwowe, kopalnie, drogi, transport kolejowy, wodny i powietrzny, środki łączności, banki, państwowe zakłady przemysłowe, państwowe gospodarstwa rolne i państwowe ośrodki maszynowe, państwowe przedsiębiorstwa handlowe, przedsiębiorstwa i urzędnictwo komunalne.”

Uspoleczenie środków produkcji to zasadnicza przesłanka gospodarki planowej, która pozwala narodowi świadomie kształtować jego własne losy.

Ekonomista burżuazyjny Hayek napisał przed wojną książkę, w której dowodził, że gospodarka planowa wiodzie do niewoli. Teoria doskonale odpowiadająca kapitalistom, dla których wolność jest wolnością wykupu.

W Polsce uspoleczenie środków produkcji, podobnie jak w Związku Radzieckim, podobnie jak w innych demokracjach ludowych, wyzwoliło olbrzymie siły drzemające w masach. Wzrost aktywności mas ludowych, wzrost świadomości klasowej i narodowej stał się motorem wielkich przemian. Klasę robotniczą ogarnęła fala współzawodnicstwa. Każdy dzień mnożył nowe zaskarżenia i racjonalizacje. Na tysiące liczymy dziś dyrektorów fabryk, zakładów, kierowników działów i techników, którzy wyszli z klasy robotniczej.

Klasa robotnicza rozrosła się nie tylko liczebnie (ludność wiejska, utrzymująca się z rolnictwa, nie stanowi już dzisiaj większości ludności jak przed wojną, stanowi zaledwie 45 proc.), lecz okrzepła ideologicznie, dzięki wielkiemu aktywnemu jednoczeniu, jaki dokonał się w ruchu robotniczym w grudniu 1948 r. Nie wzrost liczebny klasy robotniczej, lecz to, że czuje się gospodarzem kraju, że czuje się kierownikiem wielkich przeobrażeń społecznych — w tym tkwi istota rzeczy.

Polskiej klasy robotniczej nie można już dzisiaj określać jako proletariatu, albowiem nie ma już w Polsce klasy najemnych robotników, wyzyskiwanych przez kapitalistów.

Wzrostowi świadomości klasy robotniczej przede wszystkim zawdzięczamy wspaniały wzrost sił wytwórczych, wywołany przez plan 6-letni. Polska w okresie międzywojennym dreptała poniżej wskaźników produkcyjnych 1913 r., które stanowiły jak gdyby magiczny, nieprzekraczalny dla naszej produkcji pułap. Dziś, pod względem całkowitego kształtu produkcji przemysłowej, pozostawiliśmy za sobą Włochy, doganiamy Francję. W naszych oczach dojrzała Polska jako europejska potęga przemysłowa.

Inna jest sytuacja na wsi, gdzie mamy jeszcze ludzi żyjących z wyzysku cudzej pracy, klasę kapitali-

stów wiejskich, kułaków. Państwo ludowe ogranicza ich wyzysk, krępuje samowolę, nie dopuszcza do łamania przez nich praworządności, zmusza do szanowania praw sądowego współżycia. Jednocześnie ochrania ich gospodarkę, nie dopuszcza do postawienia ich poza nawias prawa, jak o tym świadczy synowa uchwała gryficka KC PZP. Konstytucja Polski Ludowej nie pozbawiła kapitalistów wiejskich praw politycznych.

Polska Ludowa opiera się na wsi na biedocie wiejskiej i zawiera porozumienie z najchłobniejszą warstwą, średnim chłopstwem. Sojusz robotniczo-chłopski, oparty o tę formułę, stanowi dostateczną gwarancję przeobrażenia wsi polskiej w kierunku socjalizmu. 3000 spółdzielni produkcyjnych, zrzeszających 722 300 gospodarstw na przeszło 722 300 ha ziemi obok państwowych gospodarstw rolnych, to opora socjalizmu na wsi, to pierwsze jego zagony.

W ślad za tymi przesunięciami w układzie sił klasowych wezbrała fala rewolucji kulturalnej, która pozbawiła „ostatnich monikanów analfabetyzmu.” Zanim upływie ostatni rok wielkiego planu, nie będzie ani jednego człowieka w wieku poniżej 50 lat, który by nie umiał czytać i pisać. To wielka rzecz. To bardzo wiele, jak na klasyczny kraj analfabetyzmu, jakim była Polska okresu międzywojennego.

Ale to nie wszystko. To co określamy pojęciem rewolucji kulturalnej obejmuje znacznie szerszą treść. Chłop, którego Polska Ludowa wyprowadziła z wiejskich opłotków, który nauczył się patrzeć na sprawy publiczne jako na sprawy swojego społeczeństwa, który zaczął czytać gazetę, który syna i córkę kształcił w mieście, to nowy człowiek.

W pierwszych latach po wojnie wiele u nas pisano o społecznym awansie. Pisano o awansie społecznym poszczególnych robotników, chłopów. Często ujmowaliśmy jednak to zagadnienie zbyt wąsko i dlatego fałszywie. A przecież jasne jest dzisiaj dla wszystkich, niezaczernionych nienawością do ustroju ludowego, że awansują nie poszczególne osoby, lecz całe warstwy, całe klasy społeczne. Stąd wciąż rosnące nakłady książek i czasopism.

Wszystkie te przeobrażenia oznaczają, że proces przekształcenia narodu polskiego obejmuje wszystkie dziedziny życia społecznego. Proces ten oznacza przeobrażenia dokonujące się zarówno w bazie, w całości kształcie stosunków produkcyjnych, w całości kształcie układu sił klasowych, jak i zmiany w poszczególnych elementach nadbudowy. Zmiany w nadbudowie polegają przede wszystkim na wzniesieniu się mas ludowych na wyższy szczebel świadomości klasowej i narodowej. Dotyczą one jednak również przeobrażeń w instytucjach, to znaczy przede wszystkim przekształcenia państwa.

Projekt konstytucji podsumowuje walkę, w której spłatały się dwa nurty: nurt walki narodowo-wyzwoleńczej i nurt walki o wyzwolenie z ucisku klasowego. Na posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej w dn. 23 stycznia b. r. Prezydent Bierut mówił:

„W suchych na pozór artykułach projektu Konstytucji zawarty jest w istocie ogólny wynik i bilans wielkiej historii walk klasowych i wyzwoleńczych polskich mas ludowych, którym na przestrzeni ostatnich 70 lat przodowała polska klasa robotnicza — walka długich i ciężkich, ale uwieńczonych zwycięstwem. Od rozpaczy walki i buntów chłopskich, od walk najświetlejszych i postępowych ludzi z ciemnotą i reakcją, od Konstytucji 3 maja 1791 r., konstytucji nieureczywistnionej, której pamięć mimo to w ciągu półtora wieku naród czcił jako pierwszy wyłom — nikiły jeszcze i niepełny — ale podważający tyranię przywilejów magnacko-szlacheckich — ciągnie się poprzez okres międzywojenny i okres okupacji hitlerowskiej, usłana setkami tysięcy ofiar spośród najlepszych, duża, znojna, pełna bohaterstwa i poświęcenia droga walki o wolność, o prawa dla ludu, o władzę ludu.”

Projekt konstytucji stanął przed zadaniem na gruncie władzy ludowej. System organów władzy ludowej obejmuje cały łańcuch ogniw, od Sejmu (jako od swojego rodzaju Najwyższej Rady Narodowej), poprzez podległe mu rady narodowe

aż do gminnej rady, na dole. Cechą znaną tego systemu jest, że wszystkie organy państwowe podlegają władzy przez lud wybranej i są przez nią kontrolowane. W szczególności ustawa o terenowych organach jednolitej władzy państwowej z 20 marca 1950 usunęła konkurencję pionu administracyjnego, uzależnionego od centrum — w stosunku do rad narodowych. Projekt konstytucji umacnia pozycję rad narodowych jako jednego gospodarza w terenie. Rady narodowe wszystkich szczebli są jedynymi wykonawcami zadań ogólnopństwowych, oraz podejmują samodzielnie zadania wynikające z potrzeb terenu, na którym działają.

Taka organizacja władzy ma swoje przeszło trzydziestoletnie tradycje. Taka organizacja władzy nawiązuje do polskich rad delegatów robotniczych, które masowo powstawały w 1919 r. Wpisały one chlubną kartę do historii polskich walk o wyzwolenie z ucisku klasowego. Organizacja władzy ludowej jest bezpośrednim przedłużeniem bohaterskiej działalności Krajowej Rady Narodowej i rad narodowych powstałych w czasie okupacji, w toku walk o wyzwolenie. Pozycja tych organów władzy w systemie aparatu państwowego była stale umacniana w walce z odchyleniem prawniczo-nacjonalistycznym.

W uchwale Biura Politycznego KC PZPR, poświęconej 10-leciu PPR, czytamy: „Realizując konsekwentnie politykę sojuszu robotniczo-chłopskiego i współpracując z odrodzoną PPS, Stronnictwem Ludowym i innymi ugrupowaniami demokratycznymi — Polska Partia Robotnicza rozwijała formy powolnego, czynnego udziału mas pracujących w rządzeniu krajem poprzez system terenowych rad narodowych...”

Ugruntowanie systemu przedstawicielstwa ludowego oznacza olbrzymią aktywizację mas, wciągnięcie ich do bezpośredniego udziału w rządach. Udział zaś mas ludowych w organach władzy to skuteczna odtrutka przeciw jadom biurokratyzmu, przeciw wszelkim tendencjom do wyobcowania się aparatu państwowego ze społeczeństwa. Wyobcowanie to jest charakterystyczne dla państw opartych na wykupie i z natury rzeczy musi być tepione ze szczególną energią w państwach socjalistycznych.

Wybory do Sejmu, a następnie do terenowych rad narodowych, będą ważnym czynnikiem dalszej aktywizacji mas ludowych.

Jest to zagadnienie wagi kapitalnej z punktu widzenia przeobrażenia narodu polskiego z burżuazyjnego w socjalistyczny. Albowiem bierność polityczna mas byłaby najpoważniejszą przeszkodą na drodze tych przeobrażeń.

Aktywne, świadome celew masy — to w praktyce rozszerzenie granic narodu. Stalin mówi, że narody socjalistyczne są „o wiele bardziej ogólnonarodowe niż jakikolwiek naród burżuazyjny.” Nasze rozwiązania ustrojowe jest biegunowo różne od burżuazyjnego systemu przedstawicielstwa. Jest ono niezerównanie bardziej demokratyczne od burżuazyjnego systemu parlamentarnego, nawet jeżeli porównanie przeprowadzać z parlamentaryzmem z okresu jego rozkwitu, t. j. z okresu przedimperialistycznego. Burżuazyjna republika parlamentarna to forma organizacyjna dyktatury burżuazji, obwarowana systemem cenzurów, monopolem środków oddziaływania ideologicznego, znajdujących się w rękach burżuazji.

Parlament burżuazyjny w jego „najpiękniejszym”, „najdemokratyczniejszym” okresie trudno byłoby posądzić o służenie narodowi. „Jeżeli weźmiemy kraje kapitalistyczne, to tam istnieją między delegatami a wyborcami nieco swoliste, rzekłbym, dość dziwne stosunki. W okresie wyborczych delegacji kłótnia swych wyborców, nadskakują im, przysięgają na wierność, dają mnóstwo wszelkich obietnic. Zdawalioby się, że delegaci są całkowicie zależni od wyborców. Ale skoro tylko wybory się skończyły i kandydaci stali się delegatami — stosunki zmieniają się zasadniczo. Zależność delegatów od wyborców ustępuje miejsca zupełnej ich niezależności. W ciągu 4 lub 5 lat, t. j. aż do nowych wyborów, delegat czuje się zupełnie wolnym, niezależnym od ludu, od swych wyborców. Może on przejść z jednego obozu do drugiego, może zbroczyć z właściwej drogi na niewłaściwą,

(Dokończenie na str. 2)



rys. Aleksander Kobzdej

Manifest

Pisarze o projekcie Konstytucji

ZOFIA NAŁKOWSKA

W brzmieniu artykułów projektu Konstytucji słyszymy głos znajomy, głos idący poprzez dzieje. Rozeszliśmy w nim hasła dawnych powstań i rewolucji, żądania strajkujących robotników i chłopów, ostatnie słowa bohaterów, idących na śmierć.

Ale projekt Konstytucji nie jest wyzwaniem ani obietnicą. Jest dotrzymaniem. Jest świadectwem rzeczywistości.

Jego tekst nie zawiera postulatów tylko stwierdzenia, jest kodyfikacją praw już będących w mocy, przez życie doświadczonych i nim poręczonych. Jego linie architektoniczne wypełnia dziejąca się rzeczywistość, dla której miarą wartości jest praca.

Z zarania mej biografii zapamiętałam takie słowa mego ojca, Wacława Nałkowskiego, w jednym z jego pism polemicznych: „Stawianie pracy „na piedestale” jest szluzem i doniosłe w skutkach. Ale trzeba najprzód zbudować ten piedestał — ustrój socjalistyczny. Bez tego piedestału posąg pracy ugrzęźnie w bagnie burżuazyjnej reakcji. Zalecać i sławić pracę „bez zastrzeżeń” można będzie wtedy dopiero, gdy ona będzie dumą władczą, a nie pokorną służą kapitala.”

Dziś po wielu latach dane mi było brać udział w powstawaniu dokumentu, dla którego podstawową wartością i zarazem najwyższym kryterium oceny jest praca.

GEORGE BIDWELL

Moim pierwszym wrażeniem podczas czytania projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej była myśl: „To nie jest przecież nowe. To wszystko już jest, już w Polsce istnieje”. I wtedy zdałem sobie sprawę, że w ten zagmatwany, odwrócony sposób pojąłem całą siłę nowej Konstytucji. Wspomniałem pełne hypokryzji, formalistyczne elaboraty prawników i polityków na żołdzie bankierów i przemysłowców, które wciąż od nowa planuje się i układa w statuty krajów kapitalistycznych po to, aby oszukiwać ludzi pustymi słowami.

Nowa Konstytucja Polski, ponieważ jest dziełem ludu, jest, moim

(Dokończenie na str. 2)

BILANS I WYTYCZNA

(Dokończenie ze str. 1-szej)

może się nawet uwikłać w machinacjach nieuczciwiego przyzwolonego charakteru, może wyracać koziołki, jak mu się żywnie podoba — jest niezależny." (Stalin).

Oczywiście, że to tylko jedna strona zagadnienia. Burżuazyjny system przedstawicielski jest kadłubowy, t. zn. nierozbudowany w dół. Rzekome przedstawicielstwo narodowe kończy się na parlamencie. Samorząd o niezwykle szczupłych kompetencjach nigdy nie był organem władzy, ale dodatkiem do centralnego aparatu. Samorząd burżuazyjny był i jest powołany do rozwiązywania drobnych i kłopotliwych zagadnień, którymi aparat rządowy nie chce się parzyć. Lenin, z właściwym sobie sarkazmem, powiedział kiedyś o smorządzie burżuazyjnym, że zajmuje się „dezynfekcją toalet”.

Jeżeli takie były rysy charakterystyczne parlamentaryzmu burżuazyjnego z okresu jego rozkwitu, to coż dopiero mówić o parlamentarystyce w okresie imperialistycznej reakcji, która niesie zarówno degradację parlamentu, jak i samorządu. Faszyzm to nie przeciwieństwo burżuazyjnego systemu parlamentarnego, lecz naturalne jego przedłużenie w okresie imperialistycznym, dno jego upadku. Faszyzm to forma rządu, która cynicznie obnaża istotę państwa burżuazyjnego. Nawrót faszyzmu po drugiej wojnie światowej, jakkolwiek występuje w nowej formie (w Stanach Zjednoczonych skrada się pod maską burżuazyjno-demokratycznej frazeologii), świadczy niezbicie o prawidłowości rozwoju państwa burżuazyjnego,

prawidłowości polegającej w okresie imperializmu na przerastaniu republiki parlamentarnej w faszystowską formę państwa.

Oczywiście, że każda burżuazyjna demokracja ma swoje specyficzne rysy. Lenin w dziele „Państwo a rewolucja” pisał: „Formy państw burżuazyjnych są nadzwyczaj różnorodne, lecz istota ich jest ta sama: wszystkie te państwa tak czy owak są jednak w ostatecznym wyniku bezwarunkowo dyktaturą burżuazji”.

Specyficzną cechą amerykańskiej „demokracji” odkrył przeszło sto lat temu stary Tocqueville. Wskazał on na korupcję jako na charakterystyczny rys amerykańskiej demokracji. Kilkadziesiąt lat później wagę jego odkrycia potwierdził Engels, pisząc: „widzimy tam dwie wielkie szajki spekulatorów politycznych, które na przemian chwytają w swoje ręce władzę państwową i eksploatują ją w najbrudniejszy sposób i dla najbrudniejszych celów, a naród jest bezsilny wobec tych dwu wielkich organizacji polityków, którzy niby to służą narodowi, a w rzeczywistości panują nad nim i grabią go”.

Możemy dodać, że proces faszyzacji życia publicznego w Stanach Zjednoczonych nadal tej korupcji szczególnie odrażające cechy. Burżuazja wiąże nierozdzielnie rozpaście moralne z polityką. Nie dziwnego, że to połączenie występuje szczególnie jaskrawo w cytaeli... gnijącego kapitalizmu.

Amoralizm polityki burżuazyjnej nigdzie tak jaskrawo nie występuje jak w dziedzinie praw i oby-

wiązków obywatelskich. Prawa są dla mniejszości, żyjącej z wyzysku, a obowiązki dla większości, dla mas pracujących. Takie jest praktyka życia politycznego w państwach burżuazyjnych. Oczywiście, że w programowych sformułowaniach konstytucyjnych rozdział między prawami i obowiązkami nie występuje. Burżuazja nigdy nie kłopotowała się w szafowaniu pięknie brzmiącymi deklaracjami. W „demokratycznej” konstytucji marcowej był rozdział o prawach politycznych. Ale w praktyce były one realizowane w ten sposób, że partia komunistyczna została zdelegalizowana i zagnana w podziemie. Między konstytucją marcową 1921 r. i kwietniową 1935 r. z punktu widzenia praktyki politycznej była tylko jedna różnica: różnica w nasileniu terroru.

Burżuazja usiłuje tę praktykę przesłonić listkami figowym techniki kodyfikacyjnej. „Szczytowe” jej osiągnięcia w tej dziedzinie leżą w płaszczyźnie konstytucyjnej. „Każdy paragraf konstytucji zawiera w sobie, bowiem, swą własną antytezę, swą własną izbę wyższą i niższą — mianowicie wolność w zdaniu ogólnym i zniesienie wolności w uwadze na marginesie” (Marks).

Jako ilustracja do tej charakterystyki Marksa może posłużyć orzeczenie Najwyższego Trybunału Administracyjnego — dobrze znane prawnikom — uznające art. 111 konstytucji marcowej, traktującej o wolności wyznania, za pozbawiony mocy prawnej. Zdaniem NTA artykuł konstytucji o wolności wyznania miał znaczenie wyłącznie „programowe”, to znaczy nie miał żadnego praktycznego znaczenia. Wśród burżuazyjnych profesorów i praktyków rozpowszechniony był pogląd, że przepisy konstytucji obowiązują o tyle, o ile jej zasady zostały „transponowane” przez ustawy. To znaczy, że konstytucja według tej „teorii” jest właściwie „adresowana” tylko do ustawodawcy. Ale i pozycja ustawy nie była tęga. Cóż warta ustawa bez rozporządzenia wykonawczego? W końcu autentyczną interpretację konstytucji dawał granatowy policjant, wypisując ją pałką gumową na grzbiatach więźniów politycznych.

Natomiast konstytucja państwa ludowego jest „adresowana” przede wszystkim do narodu. W świetle projektu naszej konstytucji zagadnienie praw i obowiązków obywatelskich to zagadnienie jednocześnie polityczne i moralne. Nie może być w państwie socjalistycznym rozdziału między moralnością i polityką. Nasza polityka wypełnia treść moralną. Sprawia to, że prawa, które deklaruje konstytucja, to nie czcze obietnice, weksle bez określonego terminu płatności, ale prawa rzeczywiste i gwarantowane. Prawo do nauki gwarantuje rosnąca liczba wyższych uczelni i rosnąca liczba szkół powszechnych; prawo do pracy gwarantowane jest przez nasz system gospodarczy, który zlikwidował bezrobocie; prawo do wypoczynku gwarantowane jest przez rosnącą liczbę domów wypoczynkowych itp. Ustrój ludowy nie tylko gwarantuje prawa na ich obecnym poziomie, ale gwarantuje stały ich wzrost, stałe zwiększanie się ich zasięgu.

Projekt konstytucji tę cechę znamionną naszych praw wielokrotnie podkreśla, przede wszystkim w artykule, który otwiera rozdział o podstawowych prawach i obowiązkach obywatelskich. „Polska Rzeczpospolita Ludowa, utrwalając i pomnażając zdobycze ludu pracującego, umacnia i rozszerza prawa i wolności obywateli”.

Ustrój socjalistyczny to taki ustrój, w którym każdy ma zagwarantowany pełny rozwój swoich talentów i zdolności. Ustrój socjalistyczny to taki ustrój, w którym Janków Muzykantów posyła do konserwatoriów.

Znamionną cechą ustroju socjalistycznego jest powiązanie ścisłe i bezwarunkowe praw i obowiązków. Dyktuje to polityka, która jest realizacją zasad moralnych socjalizmu.

W świetle tego pojętego przegądu najważniejszych tylko zagadnień projektu naszej konstytucji wypływa podstawowa różnica, jaka zachodzi między konstytucjami socjalistycznymi a burżuazyjnymi. Pierwsze odpowiadają rzeczywistości, jasno mówią o układzie sił klasowych, określają, w czym ręku jest władza państwowa, jednym słowem, niczego przed narodem nie ukrywają, drugie natomiast są fikcyjne. Burżuazja musi bowiem ukrywać klasowe oblicze państwa, nie może dawać praw, które by zagrażały panowaniu burżuazji.

Konstytucja, którą Sejm uchwali, będzie konstytucją budującego się socjalizmu. Możemy za Leninem powiedzieć, że ustrój nasz jest w tym sensie socjalistyczny, że mamy niezłomną wolę zbudowania ustroju, który nie będzie więcej rozdzielany przez antagonizmy klasowe. To jest nasz cel bliższy. Cel dalszy — to komunizm. Czyli, po prostu, bogactwo materialne i duchowe, nie tylko jednostek czy grup, lecz bogactwo całego społeczeństwa.

W walce o realizację tej zasadniczej wytycznej będziemy się posługiwali cechem konstytucji, tego niezmiennej ważnego ognia naszej nadbudowy. Pierwotna nazwa Klubu Jakobińców brzmiała: „Towarzystwo Przyjaciół Konstytucji”. Powinniśmy wytyczyć wszystkie siły, aby cały naród przystąpił do „Towarzystwa Przyjaciół Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Stanisław Ehrlich

Pisarze o projekcie Konstytucji

(Dokończenie ze str. 1)

Mój kraj ojczysty sływał kiedyś z tego, że ofiarowywał schronienie ludziom, walczącym, o takie właśnie sprawy. Dziś nie ma w Anglii azylu dla obrońców sprawy ludu, a obrońców pokoju, zbliżających się do białych skał Dover, odrzuca się grubiańsko. O Anglio, zbudź się, zrzuć obce więzy! Spełnij wolę swego ludu! A gdy ją spełnisz, niechaj będzie wyrażona w tak prostym, jasnym i praktycznym dokumencie jak nowa Polska Konstytucja — nie jako pusta forma, ani idealistyczna mrzonka, lecz jako odbicie istniejących faktów.

TADEUSZ BREZA

Konstytucja nie jest programem, nie jest planem, lecz w.nna być opisem istniejącego stanu rzeczy, komunikatem na temat uzyskanych i utrwalonych zdobyczy postępu, sprawozdaniem z przebytej drogi. Takie są cechy wszelkiej zdrowej, rewolucyjnej konstytucji. Takie były cechy francuskiej konstytucji z r. 1793, konstytucji burżuazji rewolucyjnej i takie były i są cechy wszystkich aktów konstytucyjnych radzieckich, począwszy od „Dekretów Październikowych”, kończąc na wielkiej Konstytucji Stalinowskiej.

Dopiero kiedy myśl konstytucyjna zaczyna się mącić, kiedy konstytucja nie może już służyć jako bilans przebytej drogi, a co najwyżej jako bilans cofnięty, kiedy zamienia się jedynie w poręczycielkę pseudo-praw, i niby wolności, wtedy rozrasta się i pęcznieje mgła w formie, wsteczna w treści. Wtedy też ucieka od teraźniejszości i zawisa w obłokach. Żeby nie mówić o rzeczywistym stanie rzeczy, zatapia się w marzeniach. Jej paragrafy postępowe wówczas — to dywersja, jej apele do narodu — to szwinstwo polityczny manewr, jej plany na lepszą przyszłość — to mydlane bańki. Pisarzowi, który przegląda takie konstytucje, mimo woli narzucają się pewne analogie. Uderza go to, że myśl konstytucyjna, podobnie jak myśl artystyczna, kiedy zaczyna służyć złej sprawie, przestaje odróżniać to co ważne od tego co nie ważne. Gadulstwem zastępuje jasność. Hołścią — jakością. Bujaniem w obłokach — realistyczne widzenie faktów, które się wydarzają na ziemi. Poszczególne konstytucje stanowią Ameryki Północnej to już niejako karykatury samej idei tego rodzaju dokumentu. To niekiedy prawie zręczystwo-worki, do których wchodzi wszystko. Dobry numer również w kolekcji podobnych spagowanych dokumentów to obowiązująca obecnie w Szwajcarii jej nowa konstytucja federalna z r. 1928. Wnikła ona w najróżniejsze drobniaki. Usłużna w małostkach, milczy jednak nieprzejednanie w podstawowych sprawach. Konstytucyjnie orzeka wysokość stawek w domach gry, czego jak konstytucje konstytucjami nigdy w podobnych aktach jeszcze nie widziano. Ale w zamian za ten dowód troski o równowagę budżetową, a stad i spółki domowy obywateli z żyłką do hazardu, nie zna, nie uznaje i nie chce słyszeć o takich prawach kobiety jak jej prawa polityczne. Nie gospodarzy więc kobieta krajem, nie współrządzi w nim, a tylko kiedy jej mąż już za grubo gra, może mu w łeb dać federalnym tomem fundamentalnych ustaw. Sto pociech z tymi starymi, mieszczańskimi konstytucjami!

Naiwne bywają. Częściej jednak — rzecz prosta póki się nie staną jawnie faszystowskie — dramatyczne. Burżuazja walczy w nich, jak się to mówi, o swoją twarz. Kompromituje się jednak co słowo. Odsłania co paragraf. Wszelka próba palenia bogom postępu ogarka, a diabełstwu własnych, ciasnych interesów świeczki, kończy się fiaskiem. Nawet papier przy takich próbach traci na koniec swoją przysłówkową cierpliwość. Traci ją również ostatecznie i burżuazja i burżuazyjni sztukmistrze od konstytucyjnych koktajli. Rzucają się wtedy na oślep, zmęczeni i beznadzi, w prawniczą grafomanie, w słowolejstwo, deklamatorską tanioczę.

Potem przychodzi następna faza — cynizmu. Faza ponurych dokumentów z epoki faszyzmu u nas i nie u nas. Ale i w nich, aż do końca, aż po najpóźniejszy moment, apologia pałki policyjnej sąsiaduje w najlepsze z frazesem demokratycznym. Rozbuchanie i tupet z jakąś aż śmieszna wstydlivością nachodząca macherów od konstytucji w momencie, gdy trzeba użyć, całkiem, zdawałoby się, prostych terminów. Na przykład — choćby — terminu „własność prywatna”. Nie znają go nasze przedwrześniowe konstytucje. Zamiast niej występuje wszędzie niewinna „własność osobista”. Cel tej terminologicznej sztuczki jasny: zatarcie różnicy i granicy między kapitalistyczną własnością środków produkcji a osobistą własnością przedmiotów konsumpcyjnej, osobistego użytku i wygody. Ta osobista własnością, której komunizm konsekwentnie, począwszy od „Manifestu Komunistycznego”, nie myśli znosić i ochrania. Zatarcia więc różnicę między posiadaniem kopalni a posiadaniem pary trzewików, między posiadaniem kilkudziesięciu tysięcy hektarów majoratu, a posiadaniem jednorodzinnego domu z ogródkiem. Cel jasny, ale jednocześnie jakież zawiły spłót faktów i z ilu dziedzin, który przymusza w ostatecznym rachunku ustawodawcę burżuazyjnego do podobnych kon-

stytucyjnych łamańców! Mrok je rodził. Ale zarazem z nich już się dawało odczytać niejedno. Z jej bezgranicznie naiwnych wybiegów nędzę myśli klas posiadających. I nacisk mas rewolucyjnych, które przypierały te klasy do muru. Przypierały tak, że z misternej i pracowitej nadbudowy ideologicznej tych klas poczynało się sypać próchno. Zostawał więc tylko w odwodzie jawny gwałt i nie licząca się z niczym siła. „Moc, oprócz której nie miały nic” — jak nawet mówiła ówczesna satyryczna piosenka. Pozostawał, ujmując rzecz prozaičnie, terror. Owi — „policjanci i żandarmi żywcio woapatrzni tak, aby być całkowicie wiernymi ręce, która ich karmi i bezwzględnie jej oddany mi... znacznie liczniejsi niż dotychczas i zaopatrzni we wszystkie dzwolonne konwencjami bojowe środki współczesnych wojen... kulomioty, armaty, tanki, samoloty i panczerne samochody”. Owi „policjanci i żandarmi”, o których właśnie z takim znanstwem, tęsknotą i lubością rozpisywał się, cytowany w numerze z września — października zeszyt „Nowych Drog” przez wicepremiera Stefana Jędrzychowskiego magnat i publicysta, Emanuel Małyński. Ale nie pomogli mu, ani jemu, ani jego klasie, ani feudałom, ani burżuazji owi policjanci i żandarmi. Ani ich bezwzględność, ani wierność „ręce, która ich karmiła”, ani ich brutalność. Tak samo jak nie pomogły przedtem ustępującym klasom: wszystkie sztuczki, fimeje i subtelnosci wszystkich razem wziętych, spłodzonych przez nie pseudo-konstytucji.

Projekt naszej nowej ustawy konstytucyjnej jest krótki i w słowie oszczędny. Tak jak należy. Musi być krótki jeszcze i z tego względu, żeby go było łatwo ogarnąć wyobraźnią jako całość. I musi być również w słowie oszczędny, bowiem omawia wiele: i ustrój, i władzę, i gospodarkę, i sądownictwo, i obowiązki, i prawa obywateli. A prosię zwążyć, jakie mnóstwo miejsca zajmują w nim sprawy nauki i kultury. Bo zajmują one w naszym ustroju kluczowe miejsce. Bo też człowiek bez nauki i kultury nie jest człowiekiem socjalistycznym, to nie jest pełny człowiek, lecz człowiek okaleczony, właśnie taki, jakiego hodują wszelkie ustroje wyzysku z kapitalistycznym ustrojem na czele. Nam konstytucja gwarantuje prawo do nauki i kultury. Nie może być inaczej, skoro mamy być wszyscy współgospodarzami i współtwórcami nowego życia, gospodarzyć zaś i współtworzyć bez nauki niczego nie podobna, tak samo jak rozwijać się człowiekowi nie podobna bez kultury.

Bywa, że konstytucje burżuazyjne czasem napomykają coś niecoś na temat nauki i sztuki. A nawet — o prawie do nauki. Ale prawo to w ustrojach wyzysku musi się wyrażać w prawo czysto formalne, podobnie jak wyrażają się w równości formalnej i w wolności formalnej wszystkie gwarantowane przez takie konstytucje wolności i równości. Formalnie więc w takim ustroju człowiek ma prawo do nauki, lecz praktycznie biorąc nie z tego nie ma. Przede wszystkim dlatego, że ten co wyzyskuje i dzierży w takim ustroju wszystko w swoim ręku nie może szczerze pragnąć, by poszerzają się naukowo i kulturalnie horyzonty wyzyskiwanego. W takim ustroju wyprowadzić czasem taki czy inny uczone zdola wyrwać kapitałowi trochę pieniędzy na naukowe badania. Nauka jednak dla całego narodu nie istnieje. Toteż mogą się tam zdarzyć wynalazki, ale postępu być nie może.

A tak jak bez dążności do nauki i kultury nie ma człowieka godnego tego miana, podobnie nie może istnieć przyszłość godna ludzkości bez myśli o dążeniu do postępu. Z tego względu projekt naszej konstytucji nie tylko mówi o prawie do nauki i kultury, ale określa, o jaką to naukę i o jaką to kulturę chodzi. O kulturę i naukę opartą na dorobku przodującej myśli ludzkiej i polskiej myśli postępowej. A więc o kulturę i naukę narodową i postępową. Projekt określa jeszcze jedno. Wielkiej to wagi sprawa. Projekt wyraźnie podkreśla, że co się tyczy nauki i kultury, to ważna jest nie tylko ta nauka i kultura, którą każdy człowiek może od innych przyjąć, ale również ta nauka i kultura, którą każdy człowiek może swoim innym z siebie dać. W dwu paragrafach projekt nowej konstytucji do tej sprawy powraca.

Bywa, że konstytucje burżuazyjne czasem napomykają coś niecoś na temat nauki i sztuki. A nawet — o prawie do nauki. Ale prawo to w ustrojach wyzysku musi się wyrażać w prawo czysto formalne, podobnie jak wyrażają się w równości formalnej i w wolności formalnej wszystkie gwarantowane przez takie konstytucje wolności i równości. Formalnie więc w takim ustroju człowiek ma prawo do nauki, lecz praktycznie biorąc nie z tego nie ma. Przede wszystkim dlatego, że ten co wyzyskuje i dzierży w takim ustroju wszystko w swoim ręku nie może szczerze pragnąć, by poszerzają się naukowo i kulturalnie horyzonty wyzyskiwanego. W takim ustroju wyprowadzić czasem taki czy inny uczone zdola wyrwać kapitałowi trochę pieniędzy na naukowe badania. Nauka jednak dla całego narodu nie istnieje. Toteż mogą się tam zdarzyć wynalazki, ale postępu być nie może.

Bywa, że konstytucje burżuazyjne czasem napomykają coś niecoś na temat nauki i sztuki. A nawet — o prawie do nauki. Ale prawo to w ustrojach wyzysku musi się wyrażać w prawo czysto formalne, podobnie jak wyrażają się w równości formalnej i w wolności formalnej wszystkie gwarantowane przez takie konstytucje wolności i równości. Formalnie więc w takim ustroju człowiek ma prawo do nauki, lecz praktycznie biorąc nie z tego nie ma. Przede wszystkim dlatego, że ten co wyzyskuje i dzierży w takim ustroju wszystko w swoim ręku nie może szczerze pragnąć, by poszerzają się naukowo i kulturalnie horyzonty wyzyskiwanego. W takim ustroju wyprowadzić czasem taki czy inny uczone zdola wyrwać kapitałowi trochę pieniędzy na naukowe badania. Nauka jednak dla całego narodu nie istnieje. Toteż mogą się tam zdarzyć wynalazki, ale postępu być nie może.

A tak jak bez dążności do nauki i kultury nie ma człowieka godnego tego miana, podobnie nie może istnieć przyszłość godna ludzkości bez myśli o dążeniu do postępu. Z tego względu projekt naszej konstytucji nie tylko mówi o prawie do nauki i kultury, ale określa, o jaką to naukę i o jaką to kulturę chodzi. O kulturę i naukę opartą na dorobku przodującej myśli ludzkiej i polskiej myśli postępowej. A więc o kulturę i naukę narodową i postępową. Projekt określa jeszcze jedno. Wielkiej to wagi sprawa. Projekt wyraźnie podkreśla, że co się tyczy nauki i kultury, to ważna jest nie tylko ta nauka i kultura, którą każdy człowiek może od innych przyjąć, ale również ta nauka i kultura, którą każdy człowiek może swoim innym z siebie dać. W dwu paragrafach projekt nowej konstytucji do tej sprawy powraca.

W jednym do sprawy twórczego udziału wszystkich obywateli w rozwoju kultury narodowej. W następnym — do twórczego udziału wszystkich w rozwijaniu nauki i oświaty, oraz w rozwijaniu postępu technicznego. Do twórczego, do czynnego, do aktywnego udziału. I tak się już dzieje. Z tego prawa tysiące ludzi u nas w pełni korzysta. Zarówno na polu nauki, co na polu postępu technicznego. Wspaniały rozwój ruchu racjonalizatorskiego potwierdza to prawdę w całej rozciągłości. A na polu sztuki i kultury raz po raz rzucają na nią ośniewające światło zdobycze artystyczne tak zespołowe jak indywidualne, do których ludzie dąpracowują się w świetlicach wiejskich czy klubach robotniczych, w domach kultury czy szkołach.

Ostatni z paragrafów projektu nowej konstytucji poświęconych tym zagadnieniom powiada o tym, że Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję tworzącą — naukowców, pisarzy, artystów, pionierów postępu technicznego, racjonalizatorów i wynalazców. Tak być musi, bo to jest oczywista konsekwencją tej przewodnej myśli ustrojowej, o której mówiliśmy. Tak samo bowiem jak nie ma socjalizmu i postępu bez kultury i nauki, tak samo nie ma kultury, nauki i sztuki bez twórczości i twórców. Wspomniany paragraf podkreśla to z całą siłą. Wszystkie zaś razem to paragrafy to jak gdyby statut dla naszej kultury, nauki i sztuki. To Wielka Karta dla naszego działania w tej mierze. Gwarantuje ona masom prawo do nauki i kultury, twórczość — prawo do rzetelnej twórczości, a narodowi — nieograniczonej rozwój jego postępowej nauki i sztuki.

JERZY BROSZKIEWICZ

Kiedy przed siedmiu i pół laty docierał do nas tekst Lipcowego Manifestu, trudno czasem było nawet objąć wyobraźnią tę przyszłość, którą zapowiadał. Docierał on do naszych rąk na czytanych stronach konspiracyjnej prasy — w owych tygodniach i miesiącach nad Warszawą, nad Oświęciami unosiły się jeszcze obłoki dymów, po ulicach naszych miast dudniły jeszcze gąsienice hitlerowskich czołgów.

Nie łatwo było wówczas pojąć rzeczywistą treść Manifestu. Wprzezdłał fakty — wyprzedzał historię. Wydawało się chwilami, że jest to nie tyle manifestem politycznym, ile poetyckim tekstem.

Dzisiaj wiemy, że był to — prostu nadchodząca ku nam epoka.

Od tamtych dni minęły lata. Obecnie dociera do naszych rąk tekst nowy — projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — dokument tej właśnie epoki, w której po raz pierwszy w historii naszego narodu najważniejszym prawem państwowym staje się prawo narodu do rządzenia swą Ojczyzną.

Lata dzielące nas od chwili ogłoszenia Manifestu Lipcowego wychowały już naszą wyobraźnię — nauczyły nas odczytywać dokumenty nowej epoki. Kto ma w oczach obraz warszawskiej pustyni sprzed siedmiu lat i dziś spojrzysz na panoramę stolicy, ten również odczytuje fragment takiego właśnie dokumentu. Cały kraj uczy go jego treści — życie całego narodu z każdym dniem daje nowe dowody jego siły.

„Nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” — powiedział Bolesław Bierut — „stanowiąc będzie dla narodu Wielką Kartę zwycięstwa w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, o zrzućcenie kajdan obcej niewoli, o zrzućcenie kajdan kapitalizmu, o sprawiedliwość społeczną, o socjalizm”.

Czytając tekst projektu przeżywa się wiele wzruszeń. Nie ma przecież w historii ludzkości walki piękniejszej i bardziej porywającej jak walka o sprawiedliwość społeczną. Konstytucja zaś jest dowodem wielkich zwycięstw naszego narodu w takiej właśnie walce. Nie ma wyższego ludzkiego obowiązku od obowiązku obrony, ochrony i doskonalenia praw człowieka. Konstytucja zaś daje nam te prawa, prawa do coraz piękniejszej pracy, coraz świetlejszej nauki, coraz doskonalszej literatury.

Tak — czytając Projekt Konstytucji przeżywa się także dumę — dumę wynikającą ze świadomości, że jest się obywatelem republiki ludu pracującego — Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

WISŁAWA SZYMBORSKA

MIŁOŚĆ MARI I PIOTRA CURIE

1. WYDOBYCIE RADU

Wrzątek paryskich ulic stygnie i gasną okna czułych rodzin. Do starej szopy wiatr się wdziera, skreca płomyki u palników, kurzem uderza w instrumenty aż jęczy, brzęczy cienkie szkło.

— Późno już, Mario, czas do domu,
— O, Piotrze, jak mogłabym zasnąć?

Upływa czwarty rok nadziei. Drżą pod naporem wytrwałości wrota materii szardzewiały. Drażone kolumnami liczb, prażone ogniem stu doświadczeń runą i człowiek wejdzie w głęb.

— Mario, twe biedne palce krwawią.
— Piotrze, twe skronie pobielają.

Mrok nad Paryżem i Warszawą. Skąd bije ten błękitny blask? Goreje własnym światłem szczypta szarego proszku. Pierwszy raz swój prosty czysty kształt objawia. I wielką moc ma promień jej.

— Mario, nasz trud nie nadaremny.
— Piotrze, rozumiem słowo: razem.

2. PO ŚMIERCI PIOTRA

Jest rozpacz, która nie rozplata włosów i głoonych skarg unika. Jest wdowa, która milczy głucho wierząc, że śni okrutny sen. Jest śmierć. Jest śmierć jak ścięty pień po młodym i wspaniałym drzewie. Gdybyż o pień ten potknął się, potknął się, upaść, nie wstać więcej...

W laboratorium jak w muzeum chłodny porządek martwych rzeczy. Tu nawet echo nie odpowie na odwracanych kartek szlesteł. Notatka — zdanie w pół urwane. Nierozwiązany ciąg obliczeń. Papier nie zdążył zżółknąć jeszcze. Atrament jeszcze nie pociemniał.

Czas, żeby spadły pierwsze lzy. Czas żeby płacz plecami wstrząsnął. Kobieta w czerni białą twarz pochyla nisko nad wykresem. Rysuje twardą linię prostą. Ta linia w górę będzie rosła.

A lzy — nie wolno spadać łzom, bo by się cyfry zamazały.

3. PCSŁOWIE

Witam topniecie śniegu wiosną na polu przyszłych urodzajów, pozdrawiam pierwszą cegłę domu, gdzie śmiech dziecięcy będzie mieszkał, opiewam pierwszy krok na drzewie, przez którą przejdą pokolenia i chwalebny miłość, która promień rzuciła na nasz wielki wiek.

DYSKUSJA NAD PROJEKTEM KONSTYTUCJI

LEON KRUCZKOWSKI

PRAWO DO KULTURY

Str. 38

zł 1,80

„CZYTELNIK”

R O Z M O W A

WIKTOR WOROSZYLSKI

TOWARZYSZ LUCJAN



Lucjan Rudnicki w r. 1915

Jeśli pisarz, działacz, powie sobie: no, doszedłem do celu. Jest już dobrze. Bardzo dobrze. Więcej nie potrzebuje. — To będzie jego koniec. Koniec pisarza i koniec działacza. Zostanie stary człowiek.

Twórczość pisarska Lucjana Rudnickiego odpowiada tytułowi jego powieści. Pisze o dniu wczorajszym — dzisiaj. To połączenie — „stare”, o którym pisze i „nowe”, w którym pisze — nieuchronnie, bez prowokowania żadnym sztucznym pytaniem, wypłynąć musiało w naszej rozmowie. Teraz niejszość wypływa z przeszłości.

— Jeśli mówię, że obecnie przypada szczytowy okres mojej twórczości — mówi Rudnicki — myślę się. Ja na to patrzę inaczej niż literacka krytyka. Uważam, że szczytowy okres mojego rozwoju twórczego, mojej twórczości, która — mówię to po prostu — jak była agitacją tak agitacją została, przypada gdzieś na lata pierwszej wojny światowej. To były lata, którymi przeszła linia graniczna — nie tyle rozgraniczająca co łącząca mnie — agitatora partyjnego, robotnika, ze mną — pisarzem.

Geneza „Starego i Nowego” tkwi właśnie w tych trudnych latach. Było tak:

Pracowałem jako brukarz. Po robocie zmieniałem się w agitatora. Szedłem do Związku, wygłaszałem przemówienia na wiecach, referaty na zebraniach. Czasem kilka przemówień dziennie. Czas był gorący. Pilsudczy glosili hasło: „Niemcy noszą Polsce niepodległość!” Trzeba było tłumaczyć, że „wolność” Wilhelma warta jest despotyzmu Miłkołaja. — „Niech żyje niepodległość!” — krzykli demagogi. Przeciwni temu okrzykowi wznosili inny: — „Niech żyje Rewolucja, która niesie wolność!”

Początkowo pisałem konspekty moich referatów. Nie byłem wprawny mówcą. I zdarzyło się, że leżałem przede mną konspekt, a ja zgubiłem się w nim. Konspekt był, przemówienia nie było. Począłem pisać całe referaty. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Czasem 40, 60 stron rękopisu.

...i to było moją szkołą literacką. Uważam, że to co jest najlepsze w „Starym i Nowym” wywodzi się nie tyle z obecnej chwili, ile z tych najtrudniejszych czasów.

Jeszcze marginesowe wspomnienie: szafa. Ponieważ dom mój był obiektem ciągłych rewizji, poleciłem znajomemu stolarzowi zmontowanie szafy z podwójnym dnem. Tam chowałem najważniejsze notatki i dokumenty — materiał do powieści.

Niestety, ze wszystkich tych notatek zachowała się ostatecznie tylko jedna, ta właśnie, którą schowałem w innym miejscu. Czego nie zdołała zabrać ze schowka sanacyjna policja — zabrało Gestapo — razem z szafą.

Praca agitatora w najtrudniejszych czasach — nauczyła mnie ścisłości sformułowań. Konspekt politycznego referatu to był mój pierwszy warsztat pisarski.

Kiedy siedziałem w obozie i nie mogłem prowadzić działalności propagandystycznej bezpośrednio, postanowiłem napisać powieść. W obozie powstała moja pierwsza powieść „Odrodzenie”. Wiedzę — chciałem kiedyś na przykładzie porównania „Odrodzenia” ze „Starym i Nowym” pokazać, jak wygląda powieść biograficzna pisana z perspektywy doświadczeń 30-letniego i 70-cioletniego człowieka...

— Dlaczego jestem szczęśliwy?

— Mam 70 lat i dalej jestem w szeregach. Już nie robotników, lecz



Dom w Sulejowie, w którym urodził się Rudnicki, obok Rudnicki z żoną po wyjściu z więzienia w roku 1907.

literatów. Ale robotnik i partyjny pisarz — to jedno.

— Czy jestem szczęśliwszy?

Pamiętam sprzed wojny ten nieszczęśliwy typ kaleki inteligentki, który nie umiał sobie dać rady z życiem i jego trudnościami, bo nie znał, nie stykał się nigdy z pracą fizyczną. I na odwrót — zdawali się robotnicy fizycy tak ograniczeni jak maszyny.

Tworzyć obraz człowieka całkowitego, to właśnie leży w warsztacie dzisiejszego pisarza.

Próbujemy zadać jedno z tych natarczywych dziennikarskich pytań, dotykających tzw. osobistych myśli autora „Starego i Nowego” w związku z momentem wręczenia mu kwiatów przez pisarzy w dniu jego siedemdziesięciolecia. Rudnicki macha niecierpliwie ręką.

— Kiedy jechałem na więzienie słomy do więzienia, czułem się nie mniej szczęśliwy niż dzisiaj. Wówczas więzienie było dla mnie podobnym wyróżnieniem, jak obecnie bukiet kwiatów.



RYSZARD MATUSZEWSKI

SIEDEMDCIĘCIOLETNIA MŁODOŚĆ

W sierpniu 1951 pojechałem z Lucjanem Rudnickim i Gustawem Morcinkiem do Czechosłowacji na uroczystości ku czci Alojzysa Kozłowskiego, w dniu naszego przyjazdu — Akademia w praskim Narodnim Divadle. Nazajutrz — wycieczka w międzynarodowym gronie kolegów czeskich, węgierskich, bułgarskich i rumuńskich do rodzinnego miasta autora „Skalaków”, Hronowa. W kilka dni później miało nastąpić otwarcie muzeum Jiraska w historycznej Białej Górze pod Pragę. Te kilka dni mieliśmy dzięki uprzejmości naszych czechosłowackich gospodarzy — do dyspozycji na zwiedzanie kraju. Rudnicki i ja, Morcinek bowiem wrócił do Polski.

Dni były duszne, upalne. Od rozprężonych murów Pragi bił żar. Nie było czym oddychać. Jako notoryczny amator wszelkiej włości miałem z góry ukuty plan. Nie wiedziałem tylko, jak nań zareaguje Rudnicki.

— Pojechałbym na Słowację, w Tatry — westchnąłem.

— Dskonale! Pojadę z tobą. Wcale się nie bój. Jak będziesz sobie chciał lecieć gdzieś wysoko w górę — to się zupełnie mną nie krepuj. Ceremonii ze mną robić nie potrzeba.

Przed wyjazdem spotkałem w Pradze Mariana Brandysa. Wrócił właśnie ze Słowacji. Ostrzegł nas: — Nie dajcie się tylko za dużo wodzić. Słowacy z gościnności będą wam chcieli pokazać absolutnie wszystko. Rozumiecie? Wszystkie ruiny zamków. Wszystkie grotty. Tam, gdzie kamieniem rzucić — to albo stary zamek, albo grotta.

Mówiąc to oierał pot z czoła i patrzył na nas wzrokiem przygryzonym ze zmęczenia.

Nazajutrz rano mknęliśmy z Lucjanem gładką szosą z Bratislawy doliną Wagu na Trenčyn i Trenčynskie Cieplice, i dalej, na budowę wielkiej zapory wodnej w Puchowie, gdzie pracują brygady słowackiej młodzieży. Kiedy siedzieliśmy w drewnianym baraku, w otoczeniu setki dziewcząt i chłopców w zielonych drelach, z gór nadciągnęła burza. Elekrownia wyłączyła prąd. W żółtej, burzowej poświacie szybko zapadającego zmierzchu widać było tylko zarysy młodych twarzy i świecąca biel włosów Lucjana. W ciszę przerywaną trzaskaniem piorunów, wielokrotnym przez górskie echo, padały słowa opowieści o drodze życiowej polskiego robotnika, rewolucjonisty i pisarza. Potem długo — śpiewy i góralskie tańce. Mocne uściśki dłoni, serdeczne słowa przyjaźni.

Późną nocą pedziliśmy do Turczańskiego św. Marcina.

— Lucjan, nie jesteś zmęczony?

— Idźże! Czym?

W pobliżu Bańskiej Bystrzycy zwiedzaliśmy jedne z licznych na Słowacji wapiennych grot stalaktytowych, parokilometry labirynt feerycznych, podziemnych krajobrazów.

— Piękne — mówi — ale wiesz, byłoby jeszcze ciekawsze, gdyby

prócz cudów natury były tu jakieś ślady ludzkiego życia. Człowiek jest zawsze najciekawszy.

Na ruinach zamku Dziewin, w widłach Dunaju i Morawy, długo opukał stary mur z wielkich bloków piaskowca, i przygląda się ich spojeniom.

— Patrzcie, jak oni to murowali! Zwykłe wapno na kamień. Cementu przecież nie znali. I trzyma się tyle lat!

Siedzimy już z poetą słowackim Buńczakiem w samochodzie i chcemy jak najprędzej jechać się wykpać, bo strasznie gorąco.

— Widzicie — usprawiedliwia się Rudnicki — sam się kiedyś zajmowałem murarką i ciągle mnie to interesuje. Ludzka praca — rozumiecie...

—

Między Żiliną a Vrutkami przecięły na dwoje doliną Wagu piętrzy się masyw Małej Fatry. Wierchołki ma kopaiste do 1700 m nad poziomem morza, doliny kręte i głębokie, najeżone bielą sterczących fantastycznie wapiennych skałek. Mijamy Tarchową, gdzie urodził się Janosik. Stąd, z doliny Vratnej, biegnie linowy wyścig na zbocza Wielkiego Fatrańskiego Krywania. Taka sobie, ot, kolejka linowa jak na Kasproy, tylko że zamiast wagoników — po prostu po dwa połączone krzeselka, i bujasz sobie bracie 15 metrów nad ziemią, równo z czubami świerków.

Siadamy, jedziemy. Lucjan na jednym krzeselku, ja obok na drugim.

Pogoda od wczorajszej burzy — niepewna. Po leśnych zboczach przajają bure kłaki chmur. Pomrukuje daleki grzmot. Dojechalśmy do połowy, i... stop.

— No i co?

— Nic. Wisimy.

— Ładna historia.

— Pewnie znowu wyłączyli prąd z powodu burzy.

Zaczyna lać. Piętnaście metrów pod nami zielony przesiek leśny z gąszczem jeżyn, borówek, paproc. Pioruny wała. Owiewa nas zimna, góraska mgła. Mały daszek z brezentu źle chroni od deszczu, siekającego ukosem po kolanach.

— Ryszardzie...

— Słucham.

— Tak! Jestem rad, żeś mnie tu wyciągnął, że nie masz pojęcia. Siedemdziesiąt lat żyję i tylko raz byłem w górach, piętnaście lat temu. Pojechałem wtedy na rowerze z Zakopanego do Morskiego Oka. Dziśbym już chyba nie wyciągnął.

Po dwudziestu minutach kolejka rusza. Wsiadamy na małej górskiej stacyjce-schronisku. Deszcz ustaje. Chmury powoli się rozkłada. Strzela jakiś zbłąkany promień słońca.

— Chodźmy!

Pniemy się po stromym, trawiastym zboczu. Góra okazuje się sporawa.

— Możesz się zmęczyć? Może wrócimy?

— Patrzy na mnie z łobuzerskim uśmiechem.

— Lucjan! Oszalałeś! Zlituj się! Nagle zrzuca płaszcz, marynarkę i biegnie pod górę w podskokach.

— Wiesz, gdyby nie wada słuchu,

nie chcę pisać o roli Lucjana Rudnickiego w ruchu rewolucyjnym, o jego zasługach jako bojownika i pisarza. Chcę powiedzieć po prostu: wielka to dla mnie radość i duma, że znam Towarzysza Lucjana, że jestem jego towarzyszem, że stykając się z nim w powszedniej robocie partyjnej uczę się mocno kochać i głębiej rozumieć naszą wielką sprawę.

Najpierw poznałem książkę. Chcę przypomnieć: był rok 1948, zamęt w naszej literaturze osiągnął chyba swój punkt kulminacyjny. Wielu pisarzy związanych politycznie z Polską Ludową hołdowało najgorszym wzorom literatury burżuazyjnej. Bohaterowie tych powieści byli nam obcy, ich wymyślone przeżycia nie wzbudzały, irytowały jedynie. „Stare i nowe” przeczytałem jednym tchem, przez noc. Została mi po tej pierwszej lekturze krótka notatka: „Nareszcie, po „Rzeczywistości” Putramenta, jeszcze jedna powieść współczesna! Okazuje się, że książka, traktująca o ludziach i sprawach odległych w czasie, może być bardziej aktualna i pasjonująca niżeli powieść, której akcja pozornie rozgrywa się np. w r. 1947 w Szczecinie...” Teraz można powiedzieć: to oczywiście. Wtedy było to odkrycie. Później zrozumiałem jego sens. „Współczesny” znaczyło po prostu: partyjny.

Na drugi tom „Starego i nowego” czekało się już z niecierpliwością, a czytało spokojnie, w skupieniu. Nie zawiodł oczekiwań. Teraz wracam do obydwoch, jak do starych przyjaciół, których mądrości i życzliwości jestem pewien, których doświadczenie jest godnym zaufania oparciem. I czekam — znów niecierpliwie — na trzeci.

Blżej poznałem Lucjana Rudnickiego w czasie wspólnej podróży do Związku Radzieckiego, na wiosnę 1949 roku. Nasza kilkunastoosobowa delegacja pisarzy i dziennikarzy zwiedziła Moskwę, Leningrad, wreszcie daleki obwód nowosybirski. Była to

podróż wspaniała i jakże pouczająca dla nas wszystkich! Lecz przez cały czas jedno odróżniało Lucjana Rudnickiego od pozostałych delegatów. Myśmy się czuli przyjaciółmi, towarzyszami, tak, ale jednocześnie — gośćmi, nietutejszymi. Spoglądaliśmy na Związek Radziecki z miłością, z podziwem, trochę z zazdrością — kiedy to u nas tak będzie, kiedy nasza ojczyzna nauczy się tak żyć i pracować! Jedynie Towarzysz Lucjan nie był cudzoziemcem. Nie tylko słuchał wyjaśnień, ale sam tu i ówdzie tłumaczył, doradzał radzieckim towarzyszom; przewodniczącemu nowosybirskiego ispołkomu zwrócił uwagę na dostrzeżenie w bursie robotniczej drobne niedociągnięcia, w redakcji „Litieraturnej Gazety” wystąpił z dyskusyjnymi pod adresem jej działu krytyki. Niektórzy członkowie delegacji uważali takie zachowanie za nietaktowne. A była to po prostu postawa gospodarza — starego rewolucjonisty, internacjonalisty, który czuje się u siebie wszędzie tam, gdzie lud radzi, szczególnie zaś w Związku Radzieckim.

Podczas tej podróży bardzo się zbliżyłem z Towarzyszem Lucjanem i bliskość ta nie ustała po dzień dzisiejszy. Niejednemu z kolegów z Związku Lucjana nie tylko pomogło mi zająć właściwe stanowisko w poszczególnym wypadku, ale wzbogaciło na długo, na zawsze. I — może on sam o tym nie wie — życzliwość jego pomagała mi w bardzo trudnych chwilach.

Piszę te zdania w związku z siedemdziesiątą rocznicą urodzin przyjaciela. Piszę je, czując, że nie umiem w nich zawrzeć uczuć, które budzi Lucjan Rudnicki. Pragnę więc pod koniec wspomnień o jeszcze jednym tylko — o jego niespotykanej młodości, żywości intelektualnej, szybkości reagowania, celności wypowiedzianych sądów. Zaprawdę, nie ma chyba lepszego od Lucjana Rudnickiego dowodu, że komunizm nie jest starzeją.

Wiktor Woroszylski

ADOLF SOWIŃSKI

PIERWSZA RECENZJA O „STARYM I NOWYM”

Była to epoka kamienia łupanego. Rok 1948. Prawie nie nie wiedziałem o Lucjanie Rudnickim.

W marcu owego roku krakowska podówczas „Twórczość” drukowała rozdział z jego przysiężki książki zatytułowany „W Łodzi - mieście”, ale chociaż — jako świeży łodzianin — stratałem się wertować wszystko, co dotyczyło największego w Polsce miasta robotniczego, jakoś tym razem poddałem się staremu nałogowi, aby nabyty skrupulatnie nie czytać fragmentów anonsujących dany utwór, skoro i tak wypadnie powrócić do tej samej rzeczy w wydaniu książkowym. Toteż tylko pobieżnie przekartkowałem te dwadzieścia kilka stron „Twórczości”.

Jednakże tym właśnie razem polityka nie tylko świadomego, ale i nieprzewidywanego macierzyństwa w zakresie lektury nie wyszła mi na dobre. Gdybym w marcu 1948 r. przeczytał czasopiśmienny rozdział o „Łodzi - mieście”, byłbym już wtedy zachwycił się pisarstwem Lucjana Rudnickiego, jak to się stało w kilka miesięcy później. Byłbym z niecierpliwością oczekiwał na książkę, wiedząc z góry, że otrzymamy piękne — rzucone na szerokie tło obyczajowe i polityczne — wspomnienia proletariackiego dziecka z małej miejscy w gubernii piotrkowskiej, przedzierającego się zwycięsko ku kulturze i rewolucyjnemu światopoglądowi. Ze otrzymamy jedną z najlepszych książek powojennych. Książkę, w której trafnie wyłożona historia polskich ruchów społecznych na terenie ostatnich lat czterdziestu przyobiekta się w postaci świetnego dzieła literackiego.

„Stare i nowe” dotarło do Łodzi gdzieś wczesną jesienią. W zespole redakcyjnym ówczesnej „Kuźnicy” pierwszy zwrócił na nie uwagę Matuszewski. Po przeczytaniu książki zgłosiłem natychmiast gotowość napisania szkicu, który by był czymś więcej niż recenzją, albowiem żarliwie wyznaczała narracja Rudnickiego porwała czytelnika w swój prąd i siłami krytyka do wypowiedziania również słów żarliwie wyznawczych. Uświadamiała i konkretyzowała to, co jeszcze niedostatecznie nauczyliśmy się formułować. Jednocześnie przywodziła mi na myśl i ukazywała w jaskrawym świetle ostrej krytyki społecznej wspomnienia z innego miasta pro-

wincjonalnego, w którym sam się wychowałem.

Tak szeroko pojętą recenzję napisałem — dzięki książce — jednym tchem, w ciągu jednego wieczoru. Mogę się tym trybem, w którym ongi celował Irzykowski, pochwalić, że była to pierwsza w Polsce — i to z miejsca obszerna — recenzja o „Starym i Nowym” zaraz po ukazaniu się pierwszego tomu (drugi nie był jeszcze wówczas wykończony). Ale była to — muszę z kolei co najmniej przyznać samemu sobie — zaiste recenzja z epoki kamienia łupanego. Owszem, entuzjastyczna w aprobacie światopoglądowej, lecz bardziej opisowa niż analityczna, a poza tym z dobrą wiarą odkrywającą całe niedzielną Amerykę, którą Rudnicki, idący od początku głównymi szlakami polskich ruchów robotniczych, odkrył już kilkadziesiąt lat temu.

W parę tygodni później trafiła się polemika z moją recenzją. Był spór „morfologiczny”: do którego z tradycyjnych gatunków literackich wypadałoby zaliczyć „Stare i nowe”? Jako polemista rozumowałem nie dość fortunnie. Upierałem się przy jakimś wazutkiem realizmie — powiedzmy — fotograficznym. Broniełem mojej recenzji następującymi słowami: „Pisałem o konkretnych zagadnieniach treściowych, a więc o pierwszych świadomych i zorganizowanych ruchach społecznych w Polsce, których ładunek uczynił książkę Rudnickiego dobrym dziełem literackim, chociaż stoi ona poza tradycją świeżych i pouczających konwencji literackich i z tego powodu mogłaby przy zastosowaniu ścisłych norm literackiej morfologii być wyprowadzona właściwie na margines literatury”.

Najzabawniej i najtrafniej zarazem rozstrzygnął rzecz sam Rudnicki. Zbiierał i wkładał do zeszytu to wszystko, co ludzie o nim pisali. Na marginesie notował własne uwagi. Przy cytowanym powyżej zdaniu umieścił — jak się dowiedziałem później — z dowcipnym sarkazmem następującą adnotację:

— Pokażcie mi takiego morfologa!

Poznałem osobiście Lucjana Rudnickiego dopiero gdzieś półtora roku później, już w Warszawie. Serdecznie wyciągnął dłoń do niedościgniętego morfologa jego formy literackiej.

Adolf Sowiński

nie czułbym się wcale stary. Serce mam jeszcze zupełnie dobre.

W Tatrach, przy kolejce na Łomnicę — rzec się powtarza. Znad skałnego jeziora nad Tatrzanką Łomnicą pniemy się — tym razem po skałach — na Łomnickie Ramie, skąd rozciąga się pyszny widok na masyw Łodowego, dolinę Zimnej Wody i Staroleśną. Jest to wejście tego typu, co — powiedzmy — z Hali Gasienicowej na Kasproy albo z Morskiego na Szpiglasowy. Nie próbuję już nawet go zatrzymać. Wiatr rozwiewa mi siwą czuprynę. Coś tam bąkam, żeby się nie forsował.

— Zwarłowałeś — mówi z pogardą taternika wskazując na ułożoną z kamienia ścieżkę — przecież to droga dla paralityków!

Z triumfującą radością toczy wzrokiem po poszarpanych turniach i graniach.

— Pomyśl, że mogłem tego wszystkiego już nie zobaczyć. Dobrze, żeśmy tu przyjechali. Świat jest piękny, cudownie piękny.

Ryszard Matuszewski

WILHELM MACH

JAK JÓZEF MADEJ POZNAŁ LUCJANA RUDNICKIEGO

Koğu, jak zwykle, zerwał się wcześniej od budzika. A Józef Madej, stróż i palacz w Liceum Rzemieślniczym w

O., znowu się zestrząsył, że już świta. Lecz to tylko lu na znał huty żelaznej, za miastem rozwinięta, jak co nocy, małe okno stróżówki. Spać już jednak nie warto. Piec w kotłowni czeka na Józefa Madeja — kaloryfery wystygły przez kilka godzin zimowej zadymki. Gdy wychowanek licealnego internatu zbudził dzwonek poranny, będzie już w całym budynku ciepło. Madejowa to rzecz, Madejowe w tym ręce. Będzie ciepło — nie tylko uczniakom: nocy dzisiejszej uczelnia, niby wielki hotel, pełna gości zamieszkoanych — nauczycieli szkół powszechnych i średnich. Rano rozpoczyna się Zjazd Okręgowy Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Ledwie Józef dopiął pasek u spodni — aż tu łomoce ktoś do drzwi. Zięć by to już wracał z huty po nocnej zmianie? Nie tłukiby się tak okrutnie, syna by nie budził. Władysław śpi jeszcze — niech się wyśpi. Ma dziś wolne od nauki — przez ten Zjazd.

Nie, nie zięć. Obcy. Popatrzyło no, ze stolicy aż przyjechał. Na Zjazd zaproszony — powiada. P r e l e g e n t — powiada. Licho tam pojmie, co to takiego — p r e l e g e n t. Może i figura... Zresztą nie Madeja w tym głog. Madej widzi najważniejsze: przybysz trzęsie się z zimna.

— Kąć ciepły do rana? — pewnie, że się znajdzie.

Znajduje się wygodne legowisko, przemysłnie przez Madeja w gabinecie przyrodniczym skombinowane, a nawet kubek gorącej gorącej herbaty na rozgrzewkę.

— Dobranoc — mówi gość. Zasypla natychmiast.

Wsi i z miast. I znacznych osób przybyło sporo — bo to, szkolnych władz nie licząc, i starosta jest, i wojskowi, i polityczni działacze. Wszystkim na tych sprawach szkolnych zależy. Jak nigdy dawniej. Madej wie — bo się szkoty trzyma nie od dzisiaj: odkąd mu niedługo, przed wojną, w hucie wypowiedzieli. Przed wojną nikt tu do szkoły nie zjeżdżał, żeby radzić nad uczeniem młodzieży. Albo żeby się wzajem między sobą dogadywać, jakby najlepiej szkoleniem rządzić. Inna była w tych rzeczach polityka.

— Nie ma postępu bez oświaty — glos mowcy — kuratora szkolnego rozlega się donośnie — oświata i szkolnictwo muszą być jak najściślej związane z ogólnym programem przebudowy życia społecznego. Szkoła — to nie tylko magazyn wiadomości Szkoła — to wielka kuźnia umysłów i charakterów. Przesposobienie milionów ludzi jutra do pracy w nowym lepszym świecie. Ten świat musi wprawdzie młodzież poznać i pokochać...

— Kłamstwem i złudzeniem była szkoła apolityczna. Szkoła jest i powinna być polityczna, w najlepszym znaczeniu tego słowa: ma uczyć zasad tego porządku, w jakim kształtuje się społeczność ludzi pracy...

— Wychowawcy nowego pokolenia muszą pojąć odpowiedzialność swego zadania. Zarzucić bezduszną, ciasną rutynę zawodową. Otworzyć szeroko oczy i umysły na spełniające się przemiany. Aby skutecznie wychowywać — sami muszą być w sercu życia. Ogarnąć wszystkie jego dziediny: polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne...

— Kultura jest sferą najbliższą w swej treści pracy nauczyciela. Przez jego trud wiedzie do niej droga: przez literę abecadła, przez elementarz, przez książki. Ta droga ma być utworzona dla milionów. Dla wszystkich. Bo kultura nie jest już dziś luksusem uprzywilejowanych, jak dawniej. Jest powszechnym ludzkim dobrem...

— Usiadł sobie, starzyście... — najbliższy siedzący nauczyciel zaprasza, odstępując Madejowi swoje krzesło.

Nowy porządek...

Doczekał się Józef i swojego prelegenta. Z Władysławem docekał,

bo i wnuk przyszedł posłuchać. Nie sam nawet, z kolegami. Jeszcze się cieżniej zrobiło.

Jest teraz mowa o książkach. O różnych książkach, które zostały napisane w czasie ostatnim, po wojnie. Trzeba, żeby to nauczyciele wiedzieli, a i drugo umieli poradzić co i jak. Władysław tylko mruga — wszystko by chciał spamiętać. Niech spamięta — lubi on ojcu — matce, a i dziadkowi, co nie bądź przeczytać i opowiedzieć.

Jedną się książką szczególnie Józefowi z tej gawędy miejskiego przybysza spodobała: jakby trochę o nim samym, o Józefie. Trochę — bo Józefowi gorzej się zdarzyło. Tyle podobieństwa, że obaj ciężkie życie mieli. Robotnicze życie: i Józef, i tamten, co o sobie książkę napisał.

O sobie — i nie o sobie. Bo skoro się z wiejskiej biedy do Łodzi dostał, do fabryki, już nie był sam i sam nie działał. W robotniczej gromadzie, razem. Tyle że umiał sam się wyuczyć i wykształcić — taki zacięty! Latwej idzie światłym ludziom świat zmieniać. A trzeba było zmieniać od gruntu. Znalazł ten robotnik z Sulejowa polityczną pracę, stary kapitalistę porządek, na własnej skórze. Więć zaczął, wraz z robotnikami-towarzyszami, walkę o nowy — dobry. Różnie im było, na wozie i pod wozem, aż nareszcie swojego dopięli. Dziś ten, co książkę o walkach robotniczej klasy i o własnym życiu napisał, jest jednym z najbardziej szanowanych, najlepszych obywateli. A książka — że ludzka i społeczna — do wszystkich przemawia, każdemu bliska i droga.

— Zapisz-no, Władysław, jak to się zowie...

Władysław pamięta, ale posłusznie zapisuje: — Autor książki — Lucjan Rudnicki. Tytuł — „Stare i Nowe”.

— Stare i nowe — medytuje Józef — tak, tak... Inne się życie młodym ściele. Najmądrzejsi nad ich dołgiem radzą. Cały naród pieczę sprawuje. Tak, tak... Jego życie, Józefowe, ciasne było, ciężkie i ciemne. Stare. A dla młodych dzień — na świat otwarte, sprawiedliwe, we współnoście dojrzejące. Nowe.

— Władysław...

*

Kilka godzin później prelegent opuszcza liceum. Nie zapomnia o stróżówce Józefa Madeja. Zięć już wrócił — i ma do gościa swoją sprawę:

— Mówił ojciec, żeście tu ładnie o różnych ciekawych rzeczach opowiadali. O książkach. Nasi ludzie, w hucie, także ciekawi. Możebyście przyjechali kiedy i do naszej świetlicy?

Umowa zawarta. Termin uzgodniony listownie, gdy tylko zięć Madeja porozumie się ze swoim Związkiem.

Gość raz jeszcze dziękuje stróżowi za gościnne przyjęcie rano.

— Ale, co tam, ludzka rzecz... — wybrania się dziadek Madeja.

Ludzka rzecz. Więć już od progu gość zwraca, otwiera walizkę, wyjmując czworokątny pakietek.

— To — dla wnuka.

Ledwo wyszedł, rozlega się radośne wołanie Władysława:

— Dziadku, popatrzcie tylko...

Okulary Józefa Madeja są takie, że każda rzecz, z bliska widziana, obrysowuje się świetlistym, różowym brzękiem. Więć i litery na okładce darowanej książki.

— STARE... — sylabizuje Madeja — ... I NOWE...

Wilhelm Mach

Jak to długo trwało? Ściśle nie wiem. Uszczęśliwieni czasu nie liczą.

Po rozbiciu więzienia pomazaliśmy całą szerokością ulicy, tysiączną masą, zwałę carów z tronu. Chłopi ruscy w mundurach piechoty, zaskoczeni hasłami światoburczymi w ich rodomym języku, z niepokojem ustępowali z drogi. Szedłem z Granasem i Wolskim w pierwszym szeregu. Tuż za nami płynęły sztandary w otoczeniu najdzielniejszych. Nie można ich było nieść na przódzie bez narażenia na niebezpieczeństwo. Rozumielimy to instynktownie przy pełnym poczuciu siły. „Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu?” A tu już rzeka cała płynęła, i wody jej gwałtownie wzbierały. Kto nie szedł ulicą, z okna dawał znać, że jest z nami. Spętały się z góry kwiaty i pozdrowienia. To, co publiczność czuła na ulicach Kalisza w dniu 18 października 1905 r., nawet beethovenowska pieśń radości słabo odtwarza. Nie zdawałem sobie jasno sprawy, dokąd płyniemy, — bezpośrednio na cara w Petersburgu czy na całą burżuazję świata. Jedno i drugie było do obalenia, a sił, czuło się, starczy na wszystko.

Nagle z przeciwnego strony pędzi na nas jakby wał jakiś ruchomy — z głuchym tętentem. Nie zdążyłem się zdziwić. Migawkowy obraz: drągni — zbiegł się z bliskim szablą nad moją głową...

Z głębokiego snu obudziło mnie kopnięcie. Aha... Ból głowy, ramienia i bezwładność ręki. Czyżby mi ją odrabano? Resztkami sił z przeobrażenia sięgam zdrową ręką ku obolałemu miejscu. Lepka maść. Spotałem. Tak, cały lewy bok mokry... Jestem ciężko ranny. W oczach szarzysta, odrochno rozciercam zgęstniałą, śliską krew w palcach. Zauwa mi się obolała głowa w rynsztok — dławi mnie wstrętny odór. Aha... Słyszę krzyki, żołnierskie zwrócenia, głuche ropy kolb, stuk obcasów po bruku. Nieznaczenie wciągam głowę w kołnierz marynarki, wiskam się z zagłębieniem, udaję bezwład. Żyję. Napływają siły, uśmiecham się, duży mi się bezczynność jak żołnierzowi w tyralierze pod ostrzałem. Ktoś, stanowiący na mych zębach, wywołuje odruchowe poruszenie głowy. Mocne kopnięcie w pośladki i chwyt za kołnierz. Jestem zmięty z kośćmi, chwile się, lecz stoję.

— Ty co durnia stroisz?!

Od podziwienia w prawe ucho upadłem na obolałą łopatkę. Kopnięcie z drugiej strony nie pomogło, postawiły mnie na nogi siły postronne. Związano mi ręce z tyłu, poprawiono czapkę na głowie kolbą, lecz nie dostatecznie, spadała mi na czoło. Żeby ją utrzymać bez pomocy dragona, zadarłem głowę patrząc na wszystko z wysoka.

— Co się nadymasz, gilu malinowy!...

Było nas kilkunastu na pustym placu, a przed nami archanioł na karym koniu z błyszczącym mieczem — porucznik miejscowego pułku dragonów. Nie wypędzal nas z raju, lecz zamykał do niego drogę.

— Już ja was doprowadzę do wiary chrześcijańskiej, członki rozkazane! — piał w uniesieniu. — Państwo to burdel!!! Ja was, śmierdziale, za... uszy powywieksam!!!

Wśród kilkudziesięciu osób przegodnie aresztowanych było prócz mnie jeszcze trzech więźniów: Walerian Wolski, Aleksander Granas i Bolesław Chwiłkowski. Na recitativo porucznika uśmiechnąłem się krzywo do Granasa, on

odpowiedział spojrzeniem. Uśmiech nie mógł się przebić przez zsiniałe oblicze. Czapka zwisła mu na prawe ucho, więc głowę pochylał na lewo. Chwiłkowski, chcąc utrzymać kapelusze na głowie, patrzył ponuro w ziemię. Znieważono go ponad wszelką miarę. Był wyższy niż żołnierze o całą głowę i starczyłoby mu siły, by wziąć w każdą rękę po dragonie i stuknąć nimi o siebie nosami. Pocił się z rozpaczy i pot płynął mu brudami po twarzy. Jedynie Wolski stał z gołą głową w pozycji naturalnej i patrzył na nas współczująco. Przygodni towarzysze, z małymi wyjątkami, zachowywali się spokojnie, choć patrzyli rozszereżonymi oczami. Poznawali carską konstytucyjną wolność.

— Cóż — zwierzał mi się kaliszanin szeptem — jak trzeba, to i konstytucję się przetrzyma.

Patrzyliśmy na siebie blisko. Nie miałem wątpliwości, że mnie zna z przemówienia pod więzieniem. Czulem manifest wszystkim żebarami. Trzy jego punkty, odbite kolbą na czoło, nastrojały szczególnie optymistycznie. Chciałem towarzysza pocieszyć wieścią o bliskim manifestie rewolucji, lecz porucznik znów zapiewał:

— Nie spuszczaćcie oczów z psich synów. Na poruszenie głową — bagnetem w kark. Marsz!...

Tu od razu bez przejścia zniżam ton o całą oktawę. Po kilkunastu minutach krzywego pochodu znalazłem się w celi z wytłumionym oknem, zasypianym szkłem i tyńkami. Wiosną zastąpiła nieoczekiwanie dżdżysta jesień. Fala wilgotnego zimna pędzona przez północno-zachodni wiatr, zgęszczając się w deszczową mgłę przepływała przez kratę i drzwi wiszącą na jednym zawieszce. Po korytarzu krążyło dragonie pogotowie.

Nie, nie jestem już więźniem politycznym, czuję się żołnierzem w niewoli — w niewoli przejściowej, krótkiej, bo przecież ci, co mnie tu stróżują, są również jeńcami. Należę ich tylko uświadomić. Nie czuję się pokonany nawet fizycznie. Wiara w bliskie zwycięstwo nie osłabła, lecz wzmocniła się znacznie. Mimo potłuczenia prze mnie ona do jakiejś akcji. Jak zwierzę szukam najbliższego punktu klatki. Nie przystosowałem się do niewoli, nie myślałem dotychczas o jej wykorzystaniu, lecz wszystkie siły ogniskowały się do pokonania bezpośredniej fizycznej zapy.

Cóż, mury grube jak w twierdzy, małe okno pod stropem mocno zakratowane. Drzwi, nadwężone niedawną demonstracją, stanowią najlepsze miejsce, lecz strzeże je dragon. A więc nie mury i kraty, lecz człowiek jest główną zaporą wolności. I oto, zapominając o fizycznym bólu i głodzie, ruszam do pokonania fundamentu niewoli:

— Towarzysze! — zaczepiam szeptem młodzieńca o powierzchowności szczególnie sympatycznej — towarzysze, czy wiecie, za co mnie tu trzymają?

— Milczeć, żebyś nie dostał kolbą!

— Nie jestem twoim wrogiem.

Żołnierz spojrzał nienawistnie i krzyknął:

— Panie podoficerze, ten tu buntuje.

Zalutnowano się z mną sztorcami kolb gdzie popadło. Krzycałem ochryple o rewolucji i bratobójcach. Cios w kolano zwał mi na nogi. Nie wiem, czy utraciłem przytomność, czy też tylko udawałem jej utratę. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą starszego strażnika Lisa.

— Dowolajł się — powiedział z ubolewaniem.

LUCJAN RUDNICKI

WIĘZIENNA

Chciał mi pomóc w ułożeniu się na przycy. Odepchnąłem go zdrowszą nogą. Wyszedł pośpiesznie, bo dołatywał z drugiego końca korytarza krzyk Granasa z podobnej przycy.

Nadchodził wleczo. Podano mi kubek gorącej wody i kawałek chleba. Zapach świeżego razowca ożywczo uderzył w nozdrza, a smak przepieł nieokreślonymi nadziejami. Niebawem życiodajne soki wzmochnyły wyczerpany organizm.

„Myślę, więc jestem”, twierdził Kartezjusz. Mógłbym powiedzieć: „Pachnie mi chleb, więc żyję”. I to tym bardziej, im zdrowsze mam zęby.

Cały świat zapachniał mi świeżym chlebem, a zęby miałem mocne. Wydarzenie przeżyte przed godziną wydało mi się chwilową porażką.

Zmieniły się warty. Wygląd nowego dragona nie wróżył nic dobrego. Spód czapki spadał mu na ucho kosmyk czarnych włosów. Oczy nieco wylupiały, żywe; w obliczu smagłym, zagorzałym błyszczały ostre zęby. Miarowy wolny krok był mu ciężarem. Smiesznie wyglądało byste wyrzucanie nogi i przedłużony jej szopynek przed nowym ruchem. Choć nie miał na piersiach ładownicę, od razu poznałem w nim Czechenca — narzędzie w rękach satrapów carskich do walki z rewolucją. Przysiadłem mu się kilkanaście minut walcząc z uprzedzeniem i tylko jakaś niezrozumiała mi dziś przekora pochłaniała mnie do nowej próby:

— Towarzysze... Chciałbym zapytać...

Żołnierz spojrzał na mnie surowo: — Ty już lepiej zamilcz... Nie takie teraz czasy.

— Nie takie złe, były gorsze.

Dragon odszedł obojętnie na lewo — a ja, odcchnąwszy, jak po przebiegu kłaki nad przepaścią, ustawiłem się po prawej stronie otworu, żeby przędy i dłużej mieć go na widoku. Wrócił przędy i przy mnych drzwiach zwołał kroku, sprawdzając chód do ruchu na miejscu.

— Czasy idą dobre — nawlaję do ostatniego zdania — niebawem jeszcze lepsze będą.

Żołnierz popatrzył na mnie drwiąco:

— Chyba nie dla ciebie.

— Dla wszystkich, dla całego ludu. Idzie tylko o to, byście wy, żołnierze, sprawę zrozumieli...

— Mów ciszej... — ostrzegł „Czecheniec” i poszedł w swój obchód na prawo, a ja znowu przesuwałem się na lewą stronę. Czekaliśmy jeszcze krocie na jego powrót:

— Od was zależy, czy zdobędziemy teraz chleb i wolność...

— Żołnierz robi, co mu każą.

— Strzelałby do brata?

— Nie trafiłbym...

— Dobrze, ale to mało...

Dragon odszedł maskującą zupełną obojętnością. Za kilka sekund usłyszałem jego żołnierskie: „Tak jest, panie podchorąży”, na pytanie, którego nie dotyszałem. Przechodził teraz koło mnie rzadziej i z daleka. Nie chciał rozmawiać. Moja niepewność co do jego stanowiska rozwiła się dopiero po jakiejś godzinie:

— Słysz, pan, odchodzimy, wszystkiego dobrego — powiedział ostrym szeptem.

Nie zdążyłem spojrzeć na niego. Po korytarzu dzwoniły ostrogi, słychać było miarowe kroki strażników więziennych, obejmujących z powrotem dozór.

Nazajutrz przeniesiono mnie do celi z oknem świeżo oszklonym i drzwiami mocno zamkniętymi. Nekający ból w całym organizmie przewodził do zupełnej obojętności. Nie mogąc leżeć, stałem lub chodziłem wolno z przemyślonymi oczyma, jak po przemienieniu w ciężką chorobę. Nie myślałem i nie pragnąłem pożywienia. Dopiero po kilku dniach rozpoczęło się zwykłe więzienne życie. Zwykłe w tym znaczeniu, że wróciłem do książek i nauki przerwanej przygotowaniami do ucieczki; poza tym w więzieniu, jak w całym państwie, wszystko wychodziło z normy.

W myśli manifestu umorzono nam sprawę propagandy rewolucyjnej, lecz za świeżą napaść na strażników, niszczenie własności skarbowej i ucieczkę pociągnięto do nowo dwudziestoletnim ciężkim więzieniem. Byliśmy więc kandydatami na katorżników — mimo to, a raczej dlatego, administracja więzienia i więźniowie kryminalni widzieli w nas jutrzszą władzę, i traktowali ze szczególnym szacunkiem.

W listopadzie, gdy już zeszy z mej twarzy siłce, złożył mi wizytę naczelnik Hallecki w paradnym mundurze. Traktował mnie jak znieważonego doistojnika, któremu się należało urzędowo wyrazić ubolewanie. Obszedło się bez podania ręki. On się obawiał wrogię potraktowania, ja przejawiałem zupełną obojętność.

— Jak to — i w kościele? — No, bez przesady — odpowiada — ale i z kościoła trzeba będzie ludzi wyprowadzić. Nic się samo nie zrobi...

Uśmiechamy się wszyscy porozumiewawczo, potakując. Idziemy na oplatek z kryminalistami. Naczelnik rozpromieniony.

Znaleźliśmy się jednak nie wśród ogółu więźniów, których ustawiono w korytarzu na dole, lecz osobno na galerii, razem z urzędnikami i księdzem. Patrzyliśmy na szarych braci z daleka i z wysoka jak zwykłe. Rośnie w nas oburzenie. Jeszcze chwila, a zeskończymy z pierwszego pietra, którym pogardzamy, na parter. Lecz zaczyna przemawiać ksiądz. Naczelnik, widząc nasz nastroj, błaga wzrokiem o łaskę.

Apostoł w czarnej sukni dowodził złoćcom, że narodziny Syna Bożego w niedźnej stajenke, między bydłymi, powinno ich przekonać, iż głównym skarbem chrześcijanina-katolika to pokora i wiara, nie złudne myśli o wygodach życiowych, podsuwane przez szatana.

Grzeszyliście śmiertelnie — podnosi głos patetycznie na zakończenie — cierpicie słusznie. Jeżeli jednak przestaniecie słuchać podszepów złego ducha, Bóg wszechmocny za wstawnictwem Dzieciątka Jezus i Matki jego, odpuścił wam wszystkie winy.

Nie doszedł do nas szmer westchnienia. Szara masa stała ponuro, nieporuszenie, jak zatwardziały zbrodniarz.

Głębokie współczucie do skazańców mieszało się we mnie z uczuciem wstydu za apostoła:

— Panie naczelniku — mówię z bijącym sercem — chciałbym do nich kilka słów po chrześcijańsku...

Książd kiwnął głową potakując, zastępca naczelnika, dzieląc odpo-

przed manifestem traktowaliśmy więźniów kryminalnych po ludzku, lecz na dużą odległość, a oni, widząc nasze uprzywilejowanie więziennie, patrzyli na nas jak ciłopi na „ślachtę”.

— Chlib ich bodzie! pańsko fa-naberio!

To, że byli między nami robotnicy nie zmieniło ich nastawienia. — Widział kto panów bez służby?

Pod wpływem żywotnych, powszechnie rozumiałych zadań rozwijającej się rewolucji, stosunek ten zmieniał się obustronnie.

Zwrotnym punktem zbliżenia stała się Willa święteczna, w grudniu roku 1905.

Zastępca naczelnika, rozczulony okowią i świętem, zaproponował nam wzięcie udziału w uroczystości składania sobie życzeń z udziałem księdza kapelana.

„Co — pomyślałem — mam się przyczynić do szerzenia wstecznych tradycji, nic z tego nie będzie”. I głono:

— Nie czekamy na gwiazdkę z nieba, inna nadzieja nam przyszła.

Oblicze urzędnika wyrażało zaprzeczenie zmartwienia. Doprawdy, zaprzecza nas przez głęboką sympatię dla zrobienia przyjemności kryminalnym. Niechże choć raz zobaczą, że nie wszyscy nimi pogardzają.

Olek Granas spojrzał na mnie czule, jakby miał przed sobą wszystkich nieszczęśliwych:

— Powiniśmy być wszędzie...

Tego się po nim nie spodziewałem:

— Jak to — i w kościele? —

— No, bez przesady — odpowiada — ale i z kościoła trzeba będzie ludzi wyprowadzić. Nic się samo nie zrobi...

Uśmiechamy się wszyscy porozumiewawczo, potakując. Idziemy na oplatek z kryminalistami. Naczelnik rozpromieniony.

Znaleźliśmy się jednak nie wśród ogółu więźniów, których ustawiono w korytarzu na dole, lecz osobno na galerii, razem z urzędnikami i księdzem. Patrzyliśmy na szarych braci z daleka i z wysoka jak zwykłe. Rośnie w nas oburzenie. Jeszcze chwila, a zeskończymy z pierwszego pietra, którym pogardzamy, na parter. Lecz zaczyna przemawiać ksiądz. Naczelnik, widząc nasz nastroj, błaga wzrokiem o łaskę.

Apostoł w czarnej sukni dowodził złoćcom, że narodziny Syna Bożego w niedźnej stajenke, między bydłymi, powinno ich przekonać, iż głównym skarbem chrześcijanina-katolika to pokora i wiara, nie złudne myśli o wygodach życiowych, podsuwane przez szatana.

Grzeszyliście śmiertelnie — podnosi głos patetycznie na zakończenie — cierpicie słusznie. Jeżeli jednak przestaniecie słuchać podszepów złego ducha, Bóg wszechmocny za wstawnictwem Dzieciątka Jezus i Matki jego, odpuścił wam wszystkie winy.

Nie doszedł do nas szmer westchnienia. Szara masa stała ponuro, nieporuszenie, jak zatwardziały zbrodniarz.

Głębokie współczucie do skazańców mieszało się we mnie z uczuciem wstydu za apostoła:

— Panie naczelniku — mówię z bijącym sercem — chciałbym do nich kilka słów po chrześcijańsku...

Książd kiwnął głową potakując, zastępca naczelnika, dzieląc odpo-

EGON NAGANOWSKI

DROGA PISARSKA ANNY SEGHERS

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Wzięcie pod uwagę akcji jest dla trafnej oceny dokumentarnej wartości „SIÓDMEGO KRZYŻA” (ukończ. w r. 1939, wyd. w r. 1942) ⁵⁾ rzeczą pierwszorzędnej wagi, szczególnie jeżeli chodzi o charakterystykę ruchu oporu, zawartą w książce. O ile bowiem w latach 1933—1935 rozwijały się walcze ożywną działalność konspiracyjne grupy lewicowo-komunistyczne w rodzaju „Charlottenburger Kreis” czy wuppertalskiej organizacji b. członków związków zawodowych, a z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej, przede wszystkim z powodu napażdie Hitlera na Związek Radziecki, podjęły znów działalność względnie powstały takie podziemne komórki jak „Rote Kapelle” lub „Kreissauer Kreis”, o tyle w okresie przedstawionym w „Siódmym Krzyżu” ruch oporu przeżywał ciężki kryzys. Antyfaszyści, zdziśniakowani przez gestapowski terror, zdeorganizowani przez aresztowanie przywódców i zdradę wielu towarzyszy, musieli zaniechać wszelkiej prawie działalności. Miejsce aktywnej walki zajęła taktyka biernego przetrwania. Tym bardziej, że ogół społeczeństwa niemieckiego z dużym odłamek klasy robotniczej włącznie, był wtedy albo już zupełnie zastraszony, albo też otumaniony i oszołomiony sukcesami gospodarczymi Hitlera, zlikwidowaniem bezrobocia, poprawą bytu itp. przy czym sobie jeszcze nie uświadomiano, że wszystkie te złudne osiągnięcia III Rzeszy wypływały ze zło-

wróżenie koniunktury szaleńczej przygotowań wojennych.

Z powyższego stanu rzeczy, z rzeczywistego układu sił w kraju, wielu emigracyjnych pisarzy niemieckich nie zdawało sobie dostatecznie sprawy. Oddając się niekiedy daleko idącym zdanieniom co do faktycznej roli biernego a nawet czynnego opozycji antyfaszystowskiej w Niemczech przedstawiali i cmięszali w swych książkach małą kilkę hitlerowców, natrafiając na opór szerokiej kół społeczeństwa i znacznych sił ruchu oporu. Ten kłopotący się za stanem faktycznym sposób odzwierciedlenia rzeczywistości III Rzeszy — mimo że w warunkach emigracyjnych był zrozumiały i w pewnym sensie usprawiedliwiony — ograniczył jednak znacznie poznawczą wartość dzieł i świadczył o fałszywym, płytkim pojmowaniu roli walczącej literatury. Na tym też odwaga, głęboka prawda i trudny optymizm „Siódmego Krzyża” zasługują na tym większe uznanie.

W organicznym powiązaniu z dramatem szarokich mas narodu niemieckiego Seghers przedstawiła wstrząsającą tragedię niemieckich antyfaszystów. Również tu, w odróżnieniu od niektórych emigracyjnych kolegów, nie dała się ponieść marzoniom, również i tu trzymała się ściśle gruntu realizmu. Nie zasłoniła historycznej prawdy, że antyfaszyści w Niemczech roku 1937 byli osamotnieni i zdeorganizowani, że powstrzymując się ze względów taktycznych od wszelkiej działalności i wzajemnych kontaktów ukryli swe prawdziwe oblicze pod tak grubą maską, iż to, co chcieli skrzętnie za-

tal i przechować, w wielu przypadkach nie udało się w dalekie wspomnienie, lub zupełnie nawet zagasto. Najlepsi zaś, stojący najbliższe wład partyjnych KPD, z trudem tylko, bardzo rzadko i z zachowaniem największych środków ostrożności, kontaktowali się z niektórymi towarzyszami, przy czym liczba naprawdę pewnych ludzi była niesłychanie szczupła. A jednak ta garstka antyfaszystów — m. in. od dawna już nieaktywny doktor chemii i robotnik-hitlerowiec, który pozornie zapomniał o swej „czerwonej” przeszłości — zdobyła się na olbrzymi wysiłek, by uratować i wysłać za granicę zbiera z obozu, Jerzego Heislera. Fakt ten, fakt jednej choćby udanej ucieczki (inni zostali schwytani) i pierwszej od dłuższego czasu wspólnie przeprowadzonej akcji, wrócił biorącym w niej udział towarzyszom coś z wiary w siebie, przekonał ich, oraz więźniów obozu, że z potężną machiną III Rzeszy, z rzekomo wszechwładczą i wszechwładnym gestapo, walka mimo wszystko jest możliwa. Na tym polega też pierwszy optymistyczny wniosek, wynikający z powieści, wniosek, z którego autorka wyciągnęła później dalsze, z rozwojem sytuacji w Niemczech zgodne konsekwencje, każąc kilku bohaterom „Siódmego krzyża” i Bentschlowi z „Ocalenia” dokonać w dniu napaści hitlerowskiego Wehrmachtu na Związek Radziecki aktu sabotażu w fabryce broni (opowiadanie pt. „Sabotażysty” z zbioru „Wycieczka umarłych dzławców”). Drugi zaś optymistyczny wniosek książki brzmi, że dopóki naród, dopóki klasa robotnicza tego narodu wyjada takich nieustraszonych bohaterów jak Walau, wspaniali człowiek i komunista, zamęczony po ponownym schwytaniu przez obozowych ślepaczy. dopóty najstraszliwszy nawet mrok fa-

szystowskiej nocy nie potrafi przyćmić zupełnie blasku nadziei.

Poprzednie dzieła Anny Seghers, z wyjątkiem może „Listu gończego”, cechował w mniejszym lub większym stopniu brak zharmonizowania składających się na nie elementów treściowych i formalnych. Albo silnie stylizowana forma przerażała realistyczną treść („Bunt rybaków”), albo rewolucyjny temat wyprzedzał — żeby się tak wyrazić — nie nadążając, zbyt reportażową formę („Towarzysze”), albo wreszcie cała linia treści i formy wyrzywała się pod naporem psychologiczno — faktograficznego naturalizmu („Ocalenie”). Dopiero w „Siódmym krzyżu” talent autorki odniósł piękne zwycięstwo, dał dzieło, w którym wszystko jest potrzebne i spełnia określona, celową z punktu widzenia całości funkcję. Postać Heislera mimo zastrzeżeń, które może budzić, ogólnej równowagi jednak nie narusza.

Powieść fascynuje techniką ujęcia, taktiem wręcz sensoryjnej chwilałami akcji (doskonałe dozowanie i stopniowanie napięcia), bogatym stylem, sposobem rysowania bardzo licznych, wymienicnie zróżnicowanych postaci (32 pierwszoplanowe), środowisk i sytuacji, czarem doskonale namalowanego nadreńskiego krajobrazu, na którego spokojnym tle rozbrywa się dramat strachu, podłości i bohaterstwa. Trudności filmowego pokazywania coraz to innych, równocześnie dziejących się wypadków, zostały w „Siódmym Krzyżu” z najlepszym wynikiem pokonane. Akcja nigdzie się nie rwie, lecz dąży konsekwentnie od jednego kulminacyjnego punktu do drugiego — a punkto tych jest w książce wiele, zarówno sytuacyjnych, jak też psychologicznych. Przy tym psychologia jednostek i grup nie gubi się w drobniostkach i służy zasadniczym analityczno-dokumentarnym celom powieści (np. kapitalnie ukazana reak-

cja wsi w związku ze sprawą Aldingera, jednego ze zbiegów, który przez swoją naturalną śmierć przechrztył czyniących nań SA-manów i odniósł swolte, tragiczne zwycięstwo nad nieludzką machiną III Rzeszy). W książce panuje chwilałami nastroj kasmarnego snu, co jednak jest realistycznie uzasadnione wycieńczeniem, głodem, strachem i zrozumiem podkasytowaniami ściganych. Np. opisując początek ucieczki Heislera, gdy w mgłę przesywanej światłami reflektorów wyją syreny, biegną ludzie i psy, słychać urywane słowa, szuszekanie i gwizdki, Seghers nie zawahała się przed nadaniem stylowi i obrazowaniu pewnych ekspresjonistycznych cech. To samo odnosi się do ucieczki Heislera od frankfurckiej prostytutki, u której chciał się nareszcie wypasać, albo do nocenych godzin, spędzonych przez niego w katedrze. „W drodze do poselstwa amerykańskiego”, pewne pozarealistyczne chwytu były rzeczywiste formalistycznymi igreskami, w znacznym stopniu usamodzieliły się, podporządkowały sobie tzw. treść, o tyle w „Siódmym Krzyżu” zostały, by się tak wyrazić, oddane w służbę realizmu, wzbogacają go i pogłębiają, nie wykręcają jego linii.

Tragedia niemiecka, którą Anna Seghers przedstawiła w trzech omówionych dotychczas powieściach dokumentarnych, rozgrywała się jednak nie tylko w kraju, ale i za granicą, na emigracji, w polu bezpośredniej obserwacji autorki. Gdy w r. 1940 wojska hitlerowskie wkroczyły do Francji i zajęły Paryż, tyłące emigrantów niemieckich, mieszkających w tym mieście, m. in. sama Seghers, musiały czym prędzej uciekać przed poszukującym ich gestapo do nieokupowanej części kraju. Wszyscy oni znaleźli się wcześniej czy później w Marsylii, gdzie

podobnie jak uchodzący z innych krajów, opianowanych przez faszyzm, wszczęli roz

EDUKACJA*

wiedzialność z kapelanem dał znak zezwolenia.

— Drodzy koledzy — wymówiłem cicho, przewyżając wzruszenie, lecz właśnie ta cichość, jakby poufność tonu spadała na „złoczyńców” miękko i wytworzyła nastrój braterskiego zaufania. — Drodzy koledzy — powtórzylem mocniej — możni tego świata, zabierając nam chleb cały rok, we Wilię udają braci i dzielą się z nami oplatkami. Chcą przez to powiedzieć, że jesteśmy wszyscy jednej matki. A no, może i mamy wszyscy jedną matkę, lecz postępuje ona z większością gorzej niż macocha. Jeden opływa w dostatkach, drugi umiera powolną śmiercią z głodu, a gdy walczą z niesprawiedliwością, wsadza się go do więzienia. To nie matka — podnoszę głos — to zły duch tyranów i bogaczy panuje nad nami i zamienia nam życie w piekło. Lecz dni rządu Belzebuba są już policzone. Coraz więcej ludzi pracuje w Polsce, żeby zamienić piekło na ziemi w niebo. Niedaleki już dzień, w którym i nam zabłyśnie gwiazda wolności i ludzkiego życia. Życzę wam z całego serca, tak samo jak sobie, aby się to stało jak najprędzej.

Jakiś wyrostek wiejski z tęsknoty do matki rozplakał się głośno, a reszta więźniów huknęła pełną pierś: „Panie Boże zapłać!”

Kapelan patrzy na mnie szeroko i widocznie waha się, jak ma postąpić, ale już po chwili ścisła mi rękę: — Panie, przecież to zdolności misjonarskie. Tylko ta nuta nienawiści...

Po tym dniu staliśmy się dla ogółu więźniów wysokim autorytetem. Kilku z nich, inteligentniejszych, starało się nawiązać z nami bliższe stosunki. Przychodzili do nas przy każdej sposobności po radę, pomoc i z zafiarowaniem własnych usług. Niekiedy, z wyższą etyką złodziejską, która wypływała z pewnej świadomości klasowej: „Jak bracie, to u bogacza” — patrzac na bratersko nasze, gotowi byli pójść w nasze ślady.

Wyodróżniał się między nimi powaga i żarliwość trzydziestoletni Jan Złotnicki — wysoki, szczupły, rudawy, lekko piegawaty, z pociągłym obliczem, z wyrazistymi niebieskimi oczyma i ustami o waskich wargach przymkniętych szczerlinie. Trzymał się prosto, chodził z podniesioną głową, statecznie. Rzadko i cienko się uśmiechał. Słowami prorok — tylko bez brody. Pozdrawiał nas przy spotkaniu z radością, lecz unikał rozmowy jakby w obawie, że go potraktujemy z wysoka.

Chcę poznać jego pochodzenie, zwróciłem się do niego pierwszy. Okazało się, że to były urzędnik, telegrafista. Ojciec, szwec chałupnik w Kaliszu, nie dojadający, wykierował go z pomocą nauczyciela, któremu szył buty, na człowieka, a on zbeszczył całą rodzinę. Chciał pomóc wyzyskanemu ojcu i sięgnął do kasy urzędu po tysiąc rubli. Plan dobrze obmyślił, dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, lecz los padł przeciw niemu. Pieniądze odebrano, a on jest żywcem pogrzebany.

W tonie zwierzenia i w wyrazie twarzy przebiega się rozpacz, więc przerywam współczująco: — Widzicie, my tu też siedzimy za walkę z wyzyskiem. Pan podobnie jak my — jeno w pojedynkę...

Gdy zrozumiecie, że krzywdę można usunąć jedynie wspólnymi siłami, życie nabierze nowej wartości. Złotnicki nie wydawał się przekonany, więc po chwili dodałem cicho: — Cóż, wszyscy błądzimy, idzie o to, żeby nas błędy uczyły... Po wyjściu rozpoczniecie nowe życie. Złotnicki spawiał nagle, i dopiero po chwili wykrztusił w pogardliwym samooskarżeniu: — Proszę pana, ja już powtórnę nabroilem... Dowiedziałem się, że w pierwszej sprawie skazano Złotnickiego tylko na pół roku, że względu na jego kłopotliwą nienaganną pracę. Lecz w ciągu tego półrocza obcował z „romantykami” dążącymi indywidualnie do sprawiedliwości, i w rezultacie już w drugim miesiącu wolności zgarbiło go z powrotem do więzienia razem z wytrwanymi kaszarzami. Odsiadywał teraz półtoraroczną karę w zmienionym nastroju, od krańcowej samopogardy i myśli samobójczych do marzeń o jakimś wielkim czynie, który przekona wszystkich o jego zdolnościach i szlachetności.

W toku opowiadania Złotnicki mocno się ożywił. W zarumienieniu znikły pieg, błyszczące oczy zmierzęły ku dalekiemu celowi. — Panie, ile to razy, nie śpiąc, zabierałem wszystko z gubernialnej kasy i rozdawałem tej, wie pan, nieporadnej nędzy... Bystry tok wyobrażeń zahamował mowę. Złotnicki urwał i dopiero po chwili dokończył: — A można tego dokonać, panie, można... Przedstawiłem bezcelowość takich marzeń, wskazałem przyczyny niesprawiedliwości i środki do jej zniesienia. Złotnicki patrzył na mnie z naiwnym chłopięcym zdziwieniem, jakbym mu przerywał piękny sen, lecz zrozumiałszy intencję, wyrażał oczyma niema wdzięczność.

Kilka takich dorywczych pogadanek przy sposobności ze mną i innymi towarzyszami nadało marzeniom Złotnickiego nowy kierunek. Widząc nas dzielących się wszystkim i dających solidarnie do jednego celu, zaczął nas naśladować. Cecha z kilkoma kryminalnymi, którym przewodził, stała się wzorem: sprawiedliwość, równość, solidarność. Złotnicki gotów był na śmierć za szczęście całej ludzkości.

Lecz oto, jako skutek wolności carskiej, na wiosnę roku 1906 więzienie przepelnia się politycznymi. — Są między nimi ludzie nie mający nic wspólnego z polityką, są towarzysze i „towarzysze”. Zdarzyły się między nimi wypadki oszustwa, a nawet zwykłej kradzieży. Złotnicki spada z obłoków, nie jada, mizernieje: — Więc są i tacy towarzysze? — pyta. — Byłem przekonany... Nie rozumiem... Między takimi ludźmi...

Granas przedstawia mu plastycznie burzliwe błoto i trudności oczyszczenia się z niego nawet u tych, którzy już z niego wyszli. Złotnicki patrzy na mnie szeroko. — Cóż — dopowiadam — im głębiej rozumiemy przyszłość, tym łatwiej żyć nam nią obecnie, lecz nawet zupełnie zrozumienie nie niszczy w nas starych nawyków i dziedzinowych od setek pokoleń. Wracają one odruchowo w chwili beznadziejności lub uczuciowego zamroczenia.

danymi nie usprawiedliwiony sen i zabarwla sobą obraz konkretnych, historycznych zdarzeń. Dlatego też rzeczywistość ukazana w „Tranzycie” przypomina chwilami egzystencjalistyczny koszmarał a la Kafka czy Jean Paul Sartre, koszmarał ludzkiej beznadziejności wobec bezsensu zdarzeń, wobec zmilitaryzowanej biurokracji, wobec świata, który tylko pozornie ma realny kształt. „Bo to jest właśnie piekło: bezsensowne czekanie na nic” — mówi ktoś do montera, a ten rozważając dodaje: „Ale ja czekam tak cierpliwie, jak się czeka tylko wtedy, gdy czeka się dla samego czekania, a to na co się czeka jest bez znaczenia”. Oto cała konsolacja, płynąca z tej dziwnej książki, napisanej pięknym, starannie toczonym stylem o specyficznym spadku rytmicznych zdań. Oto i cała jej siła — wysunięcie na pierwszy plan ludzi faktycznie wyrwanych z określonych warunków społecznych i politycznych, ludzi nietypowych, zagubionych w pustyni indywidualistycznej samotności, jakże innej niż ta, z którą borykają się bohaterowie „Siódmego Krzyża”. Oto wreszcie przyczyna, dla której wartość „Tranzycy” jako literackiego dokumentu z nieokupowanej Francji w latach 1940—1941 jest ograniczona.

Anna Seghers należy do tych rasowych pisarzy realistów, którzy z jednej strony głęboko przywiązują się do stworzonych przez siebie postaci, a z drugiej strony nie mogą się uwolnić od pewnych ze społeczno-politycznej rzeczywistości swoich czasów zaczerpniętych tematów, nim ich choćby w drugiej, trzeciej czy dalszej książce, nie doprowadzą do podjętego przez historię końca. Gdyż dopiero to — czytamy w „Tranzycie” — „co się opowie, jest zakończone, zamknięte na zawsze”. Z tej potrzeby „zamknięcia” dzieł kilku postaci i spraw z poprzednich dzieł powstały dwa narzane w Mek-

syłu opowiadania Anna Seghers ze zboru „Wycieczka umarłych dziewcząt” (1946), a mianowicie wspomniany już „Sabotażystki” i nowela pt. „Koniec”. Pierwsze opowiadanie mimo śmierci głównych bohaterów-sabotażystów, wybrzmiewa już po wojnie akcentem optymizmu, nadającym ostateczny sens trudnemu bohaterstwu antyfaszystów z „Siódmego Krzyża”, zaś w drugim opowiadaniu, dziejącym się w całości po wojnie, dopełnia się los dawnego kata antyfaszystów, Scharfuera Zillicha, jednego z najwybitniejszych przez autorkę sportretowanych hitlerowców, którego społecznie interpretowana kariera zaczęła się jeszcze w „Liście gończym”.

Pod koniec swego pobytu w Meksyku Anna Seghers zaczęła zbierać materiały do powieści, która w swych założeniach wskazywała na znaczne rozszerzenie i pogłębienie naukowo - ideologicznych podstaw realistycznego pisarstwa autorki. Dziełem tym koncepcyjnie powstałym zapewne nie bez wpływu znanej pracy Aleksandra Abuscha pt. „Naród na manowcach”, wydanej wtedy w Meksyku, była nowa wielka powieść o Niemcach pt. „UMARLI POZOSTAJĄ MŁODZI”, którą autorka ukończyła i wydała dopiero w dwa lata po powrocie do ojczyzny w r. 1949.

W powieści tej Anna Seghers zakreśliła sobie czasowe i tematyczne ramy, przetwarzając swą rozległą wiedzę dotychczas przez nią napisane dzieła pokażąc nam o literackiej ujęciu dwudziestu siedmiu lat historii Niemiec i narodu niemieckiego, od rewolucji w r. 1918 do ostatnich miesięcy przed ostatecznym rozgromieniem III Rzeszy przez Armię Radziecką. Jeżeli sobie uświadomimy

7) Anna Seghers „Umarli pozostają młodzi”, tłum. Juliana Malinaka. str. 538. Czytelnik 1949.

— Więc nigdy nie będzie dobrze? — Będzie coraz lepiej. Przy nowej organizacji społecznej będziemy się skuteczniej przekształcać niż obecnie w pojedynkę.

Złotnicki pochylał głowę przed naszymi wywodami jak przed jarzmem, którego nie umiał odepchnąć, ale też i przyjął nie chciał. Stosunki się oziębły. Szanował nas w dalszym ciągu, jak się szanuje nieszkodliwych marzycieli. Nie szukał sposobności mówienia z nami, chodził sztywno, patrzył w dół ponad głowami otoczenia. Wystąpił z grupą więźniów do robót w mieście, zbiegli, zorganizował bandycki zespół i w kilka tygodni potem, wyrokiem sądu doroznego rozstrzelano go razem z czterema kolegami w naszych oczach na dziedzińcu więziennym. Odmówił powieści, i przy rozpaczywaniu placu pozostających skazanych obojętnie stanął podstępem.

— Bandyta z bandytów! — zapiniował starszy strażnik Lis. — Kto był się spóździ?! — opowiadał delikatnie dozorca z parteru — jeszcze niedawno miałem go za dobrego chłopaka.

— A no, przecie mówią, jak się dobry popusuje, to je najgorszy — wyjaśniał wesoło prowiantowy przymrużyczy filuternie cko. — Obraz życia Złotnickiego i jego tragiczna śmierć wywarły na mnie silne wrażenie. Zaczęłam się zastanawiać nad charakterami i porównywałam je ze swoim.

— Więc jak — monologowałem głośno, spacerując po swej separacie — złoty środek? — Myśląc o tym dorywczo w czasie nauki systematycznie prowadzonej, skłaniałem się już do rozwiązania: „co zanadto, to niezdrowo”, wszystko z umiarkowaniem, brak umiaru prowadzi do zguby. Lecz niebawem wypłynęło pytanie: zawsze się tak dzieje? A przecież pojęcie klasowości winno być jak najgłębsze, jak najdalej idące. W sprawach społecznych miałem sprawdzian tak ścisły, jak czucie w czubkach palców, pozwalające mi z zamkniętymi oczyma, ściśle określać w swoim czasie w Widzewie gatunek tkaniny i dostatecznie wykończenia. „Z jakiego stanowiska wychodzisz, czy to korzystne dla klasy robotniczej?”

Pewność siebie uszczęśliwiała mnie jak posiadanie skarbu, którego ani woda, ani ogień nie niszczy. Złotnicki, wychodząc z poczucia prawdy i sprawiedliwości, gotów był życie oddać w walce, a gdy się okazało, że i między wybraknymi, są przestępcy, zwąpili o „wyszystkim”, poczuł się osamotniony, i znowu w pojedynkę, jak wilk między wilkami, ruszył po zdobycz.

Dlatego człowiek ze skłonnościami szlachetnymi i społecznymi potoczył się ku zbrodni? — Pragnął całkowitej, absolutnej sprawiedliwości i zupełnego braterstwa — odpowiadam sobie — a absolutu nie ma.

— Jak to nie ma? A dążność do nowego ustroju? — To wydawało mi się bezwzględne, lecz jednocześnie nie zgadzało się z moim ogólnym światopoglądem, wypływającym z wiedzy przyrodniczej. Uwolnienie się od brzemienia niebieskiego i kościelnego kosztowało wiele energii, i oto ukazuje mi się absolut ziemski, którego pragnę i szukam. Jak to pogodzić? Nie umiałem rozwiązać tego zagadnienia. Tymczasem więzienie przepelniało się nie tylko robotnikami, lecz

całą złożonością tego najbardziej dramatycznego i tragicznego okresu najnowszej historii niemieckiej, okresu, w którym po nie doprowadzonej do końca rewolucji listopadowej powstała — według znanego powiedzenia — „republika bez republikanów”. mimo rzekomo lewicowych rządów, faktyczną władzę sprawowali nadal przemysłowcy, junkrzy i generałowie nie pozabawieni swej ekonomicznej bazy, a ruch robotniczy, rozbity przez zdradziecką politykę socjaldemokratycznych przywódców, nie mógł skutecznie przeciwstawić się rozwojowi hitlerizmu, popieranego coraz wdajniej przez wielki kapitał — otóż jeżeli sobie uświadomimy, ile trudności musiało nastreczyć artystyczne skondensowanie tych spraw i wypadków w typowych sytuacjach i postaciach, to łatwo zrozumieć, jak skomplikowanego i odpowiedzialnego zadania podjęła się autorka, pisząc swą powieść.

Anna Seghers przedstawia w „Umarłych” z grubszą biorąc pięć środowisk, reprezentowanych przez pięć rodzin: przemysłowców nadreńskich, b. oficerów pruskich, b. obywateli-emigrantów z krajów bałtyckich, dalej zamożnych chłopów i wreszcie robotników. Dzieje tych rodzin oraz kregu ich najbliższych znajomych i przyjaciół autorka przekonywająco uzależniła od przebiegu wydarzeń politycznych w okresie Republiki Weimarskiej i III Rzeszy. Wypadki historyczne spletały się tu organicznie z fikcją, tworząc z nią nierozróżnialną całość. Między opisaną w prologu śmiercią młodego rewolucjonisty Erwina, zamordowanego w podberlińskim lasku przez biogwardyjskich oficerów, a rozstrzelaniem syna Erwina, komunisty Hansa, w ostatecznej fazie drugiej wojny światowej, rozgrywa się przeprzeportowany literacko dramat Niemiec, w którym indywidualne losy powieściowych bohaterów upla-

— A więc nie wszystko jest względne, względna jest jeno nasza wiedza o prawdach absolutnych. — Przy tym nie ma sprzeczności między prawdą absolutną a względną, odwrotnie, są one w ścisłym związku ze sobą, gdyż prawda absolutna powstaje za sumy prawd względnych.

W najcięższych czasach okupacji hitlerowskiej Lenin ugruntował moją wiarę w pozytywność wiedzy i ożywił zapal do nauki i walkę o naukę. Wybiegłem trzydziści pięć lat naprzód, lecz teraz nie ze skłonności do gadulstwa, jak to ze mną bywa, jeno żeby pokazać, jak trudno było robotnikowi w ustroju burżuazyjnym zdobyć istotną wiedzę. Książka katecheta i profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim jedną pełnił funkcję: otaczał i wychowawał gęstą mgłą przesądów i zocofania.

Wracam do więzienia, które w roku 1906, w roku wzbierania fali rewolucyjnej i gorączkowego przeciwdziałania reakcji przemieniło się w wielki hotel. Z wyjątkiem kilku więźniów naszej grupy, stanowiącej jętkę stałych lokatorów, wszyscy inni byli w ciągłym ruchu: przyjeżdżali i odjeżdżali po przemieszkaniu kilku dni, tygodni, miesięcy. Tylko niektórzy, rozstrzelani w ogrodku więziennym i tu zakopani, odchodziłi w wieczność...

Były to wypadki nadzwyczajne, spądające na wszystkich, nawet na straż więzienną, jak kłęsa żywiołowa, i zawsze rozpoczynały się guchym tupotem pokutych butów dragonów.

Naprzętał się wzrok przy szczerlanym wzroku, zaostrożnym, aby z odrobinką widzanego i słyszanego określił zbliżającą się katastrofę. — Tak, dragoni. Tak, znowu ktoś... Tylko rumor jeszcze wkapoty. Uspokaja się wreszcie. Zapomnę o nim, w której słycać bicie serca. Kocim krokiem podchodzi do drzwi oswojony dozorca i szepcze przez szparę: — „Kakosi się nazywo. Zabij prowokatora. Siedzi na dole po prawy strónie. Trzy cele opróznili. Siedzi w samym środku...”

W zapalnej izolacji spaceruje dwudziestoletni młodzieniec, kaliszianin, Wojciech Jabkowski. — Całą noc nawet nie usiadł: to był smutny, to dumny, to sę uśmiechał. — Twarda sztuka, nie z tyń, co placzą! — informował inny dozorca.

W ciągu całego dnia panuje w więzieniu cisza jak w rodzinie przy ciężko chorym. Oznaki mówią, że nadchodzi kres, lecz wbrew temu panuje nierozważna nadzieja. Wszyscy więźniowie wiedzą o bohaterstwie postawie towarzysza, myślą o nim ze czcią i nie wierzają w zbliżanie się do niego śmierci. Mogą przecież przekazać sprawę sądowi cywilnemu. Jest to prawdopodobne: już po dwunastej, głęboka noc, a sąd dorozny się nie zbiera. Lecz większość więźniów czuwa.

Wtem słycać lekkii trzask otwieranych głównych drzwi i cichy metaliczny szmer oficerskich ostróg. Szkielet z kosą w białej płaszczyźnie wywariby takiego wrażenia.

Lecz co to? Cichą ciemność pochmurnej nocy tuż za kratami zakłócają ruchome światła ręcznych latarni i zgrzyty spadli o piasek. Jakimi szare postacie nieokreślonego pochodzenia stawiają stupek i kopią przy nim dół. Jeszcze sędziowie nie zasiedli do sprawy, jeszcze oskarżeni nie stanął przed „sędem”, a wyrok już wydano i przygotowywuje się jego wykonanie. Znika ułuda, w gardłach zasycha z bólu i gniewu.

Znowu trzask wejściowych drzwi i huk butów całego szwadronu. Kilku dragonów wiedzie podesądnego na sprawę, reszta rozsypuje się po więzieniu.

Tok przewodu sądowego przechodzi błyskawicznie. Akcja oskarżonego, motywy i skutki jej wiadome, kara ustalona z góry, idzie tylko o przeczytanie wyroku przy portrecie cara (majestat prawa), i o możliwość upokorzenia rewolucjonisty, gdyby załował swego czynu i prosił o łaskę. Dziś stoi przed sądem świadomy, bohaterki przedstawił swej klasy. Na pytanie o winę Jabkowski spojrzal na zespolony sądowy drwiący, z politowaniem. Podważały to powagę i równowagę przewodniczącego. Z hamowanym burzeniem zapytał drugi raz lekko podniesionym głosem, co z kolei wzbudziło gniew w podesądnym: — Tak, czuję się winny — powiecciaj mocniej niż przewodniczący i skupił na sobie zainteresowanie sędziów — mam lat dwadzieścia i to, za co mnie sądzicie jest pierwszym moim czynem... — Skłębły się myśli, brakowało odpowiedniego wyrazu, urwał wypowiedź.

— Załujecie swego postępków... — podpowiada przewodniczący. — Załujcie! — zmarwniałem kilka lat życia! Powiniennem być robić to od dawna!

Przykre zdziwienie sędziów przechodzi w nienawiść. Gdyby nie dyscyplina, między kornet zarabiałby podesądne na miejscu. Jabkowski, który nagle znalazł się myślą wśród rodziny i najbliższych, pod wpływem wrogów nastroja się z powrotem bojowo, patrzy na oprawców, zwłaszcza na korneta, z góry, wyzywająco.

— Ptaszajno... — zwraca się przewodniczący z surową powagą — stojcie przed sądem... — Nie uznaję waszego sądu! — przerywa więzień porywczo. — Jesteście kupą zbrodniarzy i prowokatorów. Myśmny was już dawno osądziłim!

Na skinięcie, otacza więźnia eskorta i odprowadza z brzękiem ostróg do celi. Po kwadransie odchodzi mu wyrok, a po trzydziestu minutach stanie pod słupem u kresu życia. Oddział żołnierzy stoi już z bronią u nogi. Dwie ręczne latarnie, zawieszone na gałęziach drzewek, nędznie oświetlają miejsce egzekucji. Zapiał w pobliżu kogut. Ciężka pokrywa chmur, wydzaje się, runie lada chwila oliwem na ziemię.

Jabkowski zbliża się ku dołowi ruchami sztucznej sprężystości, nie pozwala przywiązać do słupa, odpycha kółpek, którym mu chcą zaniósć oczy. Dowodca oddziału egzekucyjnego, po przelotnym wahaniu, uwzględniła ostatnie życzenie skazanego. Towarzysz staje przy wykopanej mogile, patrzy w nią moment, wola donośnie! — towarzysze! żegnajcie! — zaczyna śpiewać:

Szalejcie tyrani, niech pastwi się kafa,
Szklujcie okowy, pętajcie w nie świat,
Lecz ducha wolnego nie skłuj kajdany,
Na strach, na strach...

W huku nierównej salwy urwała się pieśń i młode życie. W bólu i gniewie całe więzienie zahuczało „Czerwonym Sztaendarem”. Wielu więźniów odpiewało pieśń do końca, mimo dragonówi kolb, które poszły w ruch w kilku celach.

Śmierć Jabkowskiego nie wpłynęła na więźniów przygnębioną, nie wzbudziła postrachu, jak sobie życzył sętrapa — odwrotnie, stała się pobudką do walki i nauki. Większość nas przygotowywała się do przyszłej działalności, marsząc o pracy najbardziej odpowiedzialnej i niebezpiecznej.

Lucjan Rudnicki

* Fragment I-go rozdziału III tomu „Starego i Nowego”.

— Więc nigdy nie będzie dobrze? — Będzie coraz lepiej. Przy nowej organizacji społecznej będziemy się skuteczniej przekształcać niż obecnie w pojedynkę.

Złotnicki pochylał głowę przed naszymi wywodami jak przed jarzmem, którego nie umiał odepchnąć, ale też i przyjął nie chciał. Stosunki się oziębły. Szanował nas w dalszym ciągu, jak się szanuje nieszkodliwych marzycieli. Nie szukał sposobności mówienia z nami, chodził sztywno, patrzył w dół ponad głowami otoczenia. Wystąpił z grupą więźniów do robót w mieście, zbiegli, zorganizował bandycki zespół i w kilka tygodni potem, wyrokiem sądu doroznego rozstrzelano go razem z czterema kolegami w naszych oczach na dziedzińcu więziennym. Odmówił powieści, i przy rozpaczywaniu placu pozostających skazanych obojętnie stanął podstępem.

— Bandyta z bandytów! — zapiniował starszy strażnik Lis. — Kto był się spóździ?! — opowiadał delikatnie dozorca z parteru — jeszcze niedawno miałem go za dobrego chłopaka.

— A no, przecie mówią, jak się dobry popusuje, to je najgorszy — wyjaśniał wesoło prowiantowy przymrużyczy filuternie cko. — Obraz życia Złotnickiego i jego tragiczna śmierć wywarły na mnie silne wrażenie. Zaczęłam się zastanawiać nad charakterami i porównywałam je ze swoim.

— Więc jak — monologowałem głośno, spacerując po swej separacie — złoty środek? — Myśląc o tym dorywczo w czasie nauki systematycznie prowadzonej, skłaniałem się już do rozwiązania: „co zanadto, to niezdrowo”, wszystko z umiarkowaniem, brak umiaru prowadzi do zguby. Lecz niebawem wypłynęło pytanie: zawsze się tak dzieje? A przecież pojęcie klasowości winno być jak najgłębsze, jak najdalej idące. W sprawach społecznych miałem sprawdzian tak ścisły, jak czucie w czubkach palców, pozwalające mi z zamkniętymi oczyma, ściśle określać w swoim czasie w Widzewie gatunek tkaniny i dostatecznie wykończenia. „Z jakiego stanowiska wychodzisz, czy to korzystne dla klasy robotniczej?”

Pewność siebie uszczęśliwiała mnie jak posiadanie skarbu, którego ani woda, ani ogień nie niszczy. Złotnicki, wychodząc z poczucia prawdy i sprawiedliwości, gotów był życie oddać w walce, a gdy się okazało, że i między wybraknymi, są przestępcy, zwąpili o „wyszystkim”, poczuł się osamotniony, i znowu w pojedynkę, jak wilk między wilkami, ruszył po zdobycz.

Dlatego człowiek ze skłonnościami szlachetnymi i społecznymi potoczył się ku zbrodni? — Pragnął całkowitej, absolutnej sprawiedliwości i zupełnego braterstwa — odpowiadam sobie — a absolutu nie ma.

— Jak to nie ma? A dążność do nowego ustroju? — To wydawało mi się bezwzględne, lecz jednocześnie nie zgadzało się z moim ogólnym światopoglądem, wypływającym z wiedzy przyrodniczej. Uwolnienie się od brzemienia niebieskiego i kościelnego kosztowało wiele energii, i oto ukazuje mi się absolut ziemski, którego pragnę i szukam. Jak to pogodzić? Nie umiałem rozwiązać tego zagadnienia. Tymczasem więzienie przepelniało się nie tylko robotnikami, lecz

całą złożonością tego najbardziej dramatycznego i tragicznego okresu najnowszej historii niemieckiej, okresu, w którym po nie doprowadzonej do końca rewolucji listopadowej powstała — według znanego powiedzenia — „republika bez republikanów”. mimo rzekomo lewicowych rządów, faktyczną władzę sprawowali nadal przemysłowcy, junkrzy i generałowie nie pozabawieni swej ekonomicznej bazy, a ruch robotniczy, rozbity przez zdradziecką politykę socjaldemokratycznych przywódców, nie mógł skutecznie przeciwstawić się rozwojowi hitlerizmu, popieranego coraz wdajniej przez wielki kapitał — otóż jeżeli sobie uświadomimy, ile trudności musiało nastreczyć artystyczne skondensowanie tych spraw i wypadków w typowych sytuacjach i postaciach, to łatwo zrozumieć, jak skomplikowanego i odpowiedzialnego zadania podjęła się autorka, pisząc swą powieść.

Anna Seghers przedstawia w „Umarłych” z grubszą biorąc pięć środowisk, reprezentowanych przez pięć rodzin: przemysłowców nadreńskich, b. oficerów pruskich, b. obywateli-emigrantów z krajów bałtyckich, dalej zamożnych chłopów i wreszcie robotników. Dzieje tych rodzin oraz kregu ich najbliższych znajomych i przyjaciół autorka przekonywająco uzależniła od przebiegu wydarzeń politycznych w okresie Republiki Weimarskiej i III Rzeszy. Wypadki historyczne spletały się tu organicznie z fikcją, tworząc z nią nierozróżnialną całość. Między opisaną w prologu śmiercią młodego rewolucjonisty Erwina, zamordowanego w podberlińskim lasku przez biogwardyjskich oficerów, a rozstrzelaniem syna Erwina, komunisty Hansa, w ostatecznej fazie drugiej wojny światowej, rozgrywa się przeprzeportowany literacko dramat Niemiec, w którym indywidualne losy powieściowych bohaterów upla-

— A więc nie wszystko jest względne, względna jest jeno nasza wiedza o prawdach absolutnych. — Przy tym nie ma sprzeczności między prawdą absolutną a względną, odwrotnie, są one w ścisłym związku ze sobą, gdyż prawda absolutna powstaje za sumy prawd względnych.

W najcięższych czasach okupacji hitlerowskiej Lenin ugruntował moją wiarę w pozytywność wiedzy i ożywił zapal do nauki i walkę o naukę. Wybiegłem trzydziści pięć lat naprzód, lecz teraz nie ze skłonności do gadulstwa, jak to ze mną bywa, jeno żeby pokazać, jak trudno było robotnikowi w ustroju burżuazyjnym zdobyć istotną wiedzę. Książka katecheta i profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim jedną pełnił funkcję: otaczał i wychowawał gęstą mgłą przesądów i zocofania.

Wracam do więzienia, które w roku 1906, w roku wzbierania fali rewolucyjnej i gorączkowego przeciwdziałania reakcji przemieniło się w wielki hotel. Z wyjątkiem kilku więźniów naszej grupy, stanowiącej jętkę stałych lokatorów, wszyscy inni byli w ciągłym ruchu: przyjeżdżali i odjeżdżali po przemieszkaniu kilku dni, tygodni, miesięcy. Tylko niektórzy, rozstrzelani w ogrodku więziennym i tu zakopani, odchodziłi w wieczność...

Były to wypadki nadzwyczajne, spądające na wszystkich, nawet na straż więzienną, jak kłęsa żywiołowa, i zawsze rozpoczynały się guchym tupotem pokutych butów dragonów.

Naprzętał się wzrok przy szczerlanym wzroku, zaostrożnym, aby z odrobinką widzanego i słyszanego określił zbliżającą się katastrofę. — Tak, dragoni. Tak, znowu ktoś... Tylko rumor jeszcze wkapoty. Uspokaja się wreszcie. Zapomnę o nim, w której słycać bicie serca. Kocim krokiem podchodzi do drzwi oswojony dozorca i szepcze przez szparę: — „Kakosi się nazywo. Zabij prowokatora. Siedzi na dole po prawy strónie. Trzy cele opróznili. Siedzi w samym środku...”

W zapalnej izolacji spaceruje dwudziestoletni młodzieniec, kaliszianin, Wojciech Jabkowski. — Całą noc nawet nie usiadł: to był smutny, to dumny, to sę uśmiechał. — Twarda sztuka, nie z tyń, co placzą! — informował inny dozorca.

W ciągu całego dnia panuje w więzieniu cisza jak w rodzinie przy ciężko chorym. Oznaki mówią, że nadchodzi kres, lecz wbrew temu panuje nierozważna nadzieja. Wszyscy więźniowie wiedzą o bohaterstwie postawie towarzysza, myślą o nim ze czcią i nie wierzają w zbliżanie się do niego śmierci. Mogą przecież przekazać sprawę sądowi cywilnemu. Jest to prawdopodobne: już po dwunastej, głęboka noc, a sąd dorozny się nie zbiera. Lecz większość więźniów czuwa.

Wtem słycać lekkii trzask otwieranych głównych drzwi i cichy metaliczny szmer oficerskich ostróg. Szkielet z kosą w białej płaszczyźnie wywariby takiego wrażenia.

Lecz co to? Cichą ciemność pochmurnej nocy tuż za kratami zakłócają ruchome światła ręcznych latarni i zgrzyty spadli o piasek. Jakimi szare postacie nieokreślonego pochodzenia stawiają stupek i kopią przy nim dół. Jeszcze sędziowie nie zasiedli do sprawy, jeszcze oskarżeni nie stanął przed „sędem”, a wyrok już wydano i przygotowywuje się jego wykonanie. Znika ułuda, w gardłach zasycha z bólu i gniewu.

Znowu trzask wejściowych drzwi i huk butów całego szwadronu. Kilku dragonów wiedzie podesądnego na sprawę, reszta rozsypuje się po więzieniu.

Tok przewodu sądowego przechodzi błyskawicznie. Akcja oskarżonego, motywy i skutki jej wiadome, kara ustalona z góry, idzie tylko o przeczytanie wyroku przy portrecie cara (majestat prawa), i o możliwość upokorzenia rewolucjonisty, gdyby załował swego czynu i prosił o łaskę. Dziś stoi przed sądem świadomy, bohaterki przedstawił swej klasy. Na pytanie o winę Jabkowski spojrzal na zespolony sądowy drwiący, z politowaniem. Podważały to powagę i równowagę przewodniczącego. Z hamowanym burzeniem zapytał drugi raz lekko podniesionym głosem, co z kolei wzbudziło gniew w podesądnym: — Tak, czuję się winny — powiecciaj mocniej niż przewodniczący i skupił na sobie zainteresowanie sędziów — mam lat dwadzieścia i to, za co mnie sądzicie jest pierwszym moim czynem... — Skłębły się myśli, brakowało odpowiedniego wyrazu, urwał wypowiedź.

— Załujecie swego postępków... — podpowiada przewodniczący. — Załujcie! — zmarwniałem kilka lat życia! Powiniennem być robić to od dawna!

Przykre zdziwienie sędziów przechodzi w nienawiść. Gdyby nie dyscyplina, między kornet zarabiałby podesądne na miejscu. Jabkowski, który nagle znalazł się myślą wśród rodziny i najbliższych, pod wpływem wrogów nastroja się z powrotem bojowo, patrzy na oprawców, zwłaszcza na korneta, z góry, wyzywająco.

— Ptaszajno... — zwraca się przewodniczący z surową powagą — stojcie przed sądem... — Nie uznaję waszego sądu! — przerywa więzień porywczo. — Jesteście kupą zbrodniarzy i prowokatorów. Myśmny was już dawno osądziłim!

Na skinięcie, otacza więźnia eskorta i odprowadza z brzękiem ostróg do celi. Po kwadransie odchodzi mu wyrok, a po trzydziestu minutach stanie pod słupem u kresu życia. Oddział żołnierzy stoi już z bronią u nogi. Dwie ręczne latarnie, zawieszone na gałęziach drzewek, nędznie oświetlają miejsce egzekucji. Zapiał w pobliżu kogut. Ciężka pokrywa chmur, wydzaje się, runie lada chwila oliwem na ziemię.

Jabkowski zbliża się ku dołowi ruchami sztucznej sprężystości, nie pozwala przywiązać do słupa, odpycha kółpek, którym mu chcą zaniósć oczy. Dowodca oddziału egzekucyjnego, po przelotnym wahaniu, uwzględniła ostatnie życzenie skazanego. Towarzysz staje przy wykopanej mogile, patrzy w nią moment, wola donośnie! — towarzysze! żegnajcie! — zaczyna śpiewać:

Szalejcie tyrani, niech pastwi się kafa,
Szklujcie okowy, pętajcie w nie świat,
Lecz ducha wolnego nie skłuj kajdany,
Na strach, na strach...

W huku nierównej salwy urwała się pieśń i młode życie. W bólu i gniewie całe więzienie zahuczało „Czerwonym Sztaendarem”. Wielu więźniów odpiewało pieśń do końca, mimo dragonówi kolb, które poszły w ruch w kilku celach.

Śmierć Jabkowskiego nie wpłynęła na

JAN LENICA

Rysunki ANDRZEJA STOPKI

REFLEKSJE POZJAZDOWE

W przemówieniu wygłoszonym na otwarcie wystawy wrocławskiej w listopadzie 1947 roku Prezydent Bolesław Bierut powiedział: „Twórczość artystyczna i kulturalna winna być odzwierciedleniem wielkiego przełomu, jaki naród przeżywa. Trzeba, żeby nasi twórcy współczesni pamiętali, że ich dzieła powinny kształtować, porywać i wychowywać naród.”

W czerwcu 1949 r. odbył się Ogólnopolski Zjazd Związku Polskich Artystów Plastyków w Katowicach, na którym zdecydowanie przeciwstawiono się kierunkom formalistycznym i przyjęto jako program i wytyczne dla dalszego rozwoju plastyki polskiej metodę realizmu socjalistycznego. W pierwszej połowie 1950 roku odbyła się I-sza Ogólnopolska Wystawa Plastyki, wystawa, która była pierwszym dokumentem przełomu, jaki dokonał się w plastyce polskiej.



Włodzimierz Sokorski

Trzeba zdać sobie dobrze sprawę z tego, jak krótki okres czasu dzieli nas od chwili, które zapoczątkowały ten głęboki wstrząs. Dokonał się rewolucyjny przełom, konieczny i jedynego wyjścia z głębokiego kryzysu, w jakim znajdowała się plastyka. Hasło realizmu socjalistycznego podjęła od razu olbrzymia większość naszych twórców.

Trzeba było przetrwać doświadczenia i przekonania malarzy kształtowane przez różne kierunki formalistyczne w ciągu dwudziestu kilku nieraz lat, nawyk oka przyzwyczajonego do rozbiwania, rozdzielania obrazu rzeczywistości na poszczególne elementy i wreszcie nawyk wyobraźni zestawiającej te elementy w surrealistyczne widzenia, lub w innym wypadku, wyobraźni przyzwyczajonej wyłącznie do odbierania pewnych wrażeń, np. kształtów i form przedmiotów, transponowanych później na kompozycje abstrakcyjne. Do tego doszło jeszcze, tkwiące do dziś w świadomości wielu artystów przekonanie o konieczności „apolitycznego” odośrobnienia i samotności twórcy, wpajane od lat przez przedstawicieli burżuazyjnej, dekadentkiej estetyki.

Walka o nową sztukę realizmu socjalistycznego w sensie warsztatowym, to walka o nową, twórczą syntezę wszystkich części składowych i właściwości obrazu, które poszczególne kierunki formalistyczne

nie oddzielały i autonomizowały, eksploatując je do granic możliwości i traktując jako cel najwyższy. I tak kubizm wyodrębnił i autonomizował formę jako element samostojny, ekspresjonizm nadmiernie podkreślał i przejawiał pewną właściwość obrazu zawartą w swej nazwie, impresjonizm wyodrębnił z rzeczywistości światło i refleksy barwy. W całej sztuce burżuazyjnej obserwujemy rozpad realistycznego warsztatu malarskiego. Przed nami stało trudne zadanie scalenia wszystkich elementów składowych obrazu w nową, realistyczną wzięć współczesnego człowieka, współczesnego życia.

Mimo tak olbrzymiej trudności mogliśmy poszczycić się w początkowym okresie, poprzedzającym ostatni, V Walny Zjazd Delegatów ZPAP, dość dużymi osiągnięciami. Znacznej większości twórców udało się przetrwać teorię i praktykę formalizmu, wielu malarzy, rzeźbiarzy i grafików zdobyło już sporo doświadczenia w posługiwaniu się metodą realizmu socjalistycznego, na wystawach pojawiły się nowe nazwiska młodych artystów, rokujących jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Zaczęto z powrotem odnajdywać w malarstwie zagubioną od wielu lat treść humanistyczną, odnaleziono to nić, która wiąże nas ze sztuką wielkich epok historycznych.

Naiwnością byłoby jednak przypuszczać, że te gwałtowne i zasadnicze przemiany będą miały przebieg prosty i nieskomplikowany, że twórczość plastyczna bez żadnych potknięć i błędów od razu znajdzie swą właściwą drogę.

Czy dziś plastyka nasza jest przygotowana do podjęcia stojących przed nią zadań?

V Zjazd Delegatów ZPAP zamknął pierwszy okres walki o sztukę realizmu socjalistycznego. Większość wystąpień delegatów dowiodła, że plastycy wynieśli z tego okresu wiele doświadczeń i że zdają sobie sprawę zarówno ze swoich osiągnięć, jak i z niedociągnięć i błędów. Wypełnienie zadań stawianych przez naród sztukom plastycznym, całkowite włączenie ich w nurt współczesnego życia uzależnione jest w dużym stopniu od słusznego przeanalizowania poprzedniego okresu, od zdania sobie sprawy z niedociągnięć i błędów dotychczas popełnianych.



Hanna Rudzka-Cybis

Przezwyciężanie wewnętrznych sporów, zdobywanie nowej wiedzy o człowieku i o świecie, budowa nowego warsztatu artystycznego na podstawie doświadczeń dawnych i nowych, wszystko to składa się na długi i trudny proces, przebiegają-

cy bardzo różnie u każdego twórcy w zależności od rodzaju jego talentu, środowiska społecznego i artystycznego, w którym wyrastała i kształtowała się jego świadomość. Musimy stwierdzić, że nie wszystko zrobiliśmy, co leżało w naszej mocy, aby artystom, którzy przechodzili na nasze pozycje, ułatwić tę drogę. Analizując dzisiejszą twórczość Kulisiewicza, Wnuka, Siemaszkowej, Kobzdej czy Fangora, widzimy, że zrobili oni wielki krok naprzód, krok, na jaki stać niekażdego artystę. Zrobili go idąc często bez pomocy, sami, borykając się z trudnościami wewnętrznymi i zewnętrznymi.



Zbigniew Pronaszko

V Zjazd w olbrzymim stopniu zlikwidował ten stan rzeczy, przed nowymi władzami związku stoi między innymi zadanie wciągnięcia do szerokiego frontu walki o sztukę realizmu socjalistycznego wszystkich, stojących dotąd jeszcze na uboczu; trzeba stworzyć atmosferę koleżeńkiej współpracy i współzawodnictwa, nie bać się szerszej, surowej krytyki.

Należy przyznać, że brakowało nam w ciągu ostatnich lat tej atmosfery, która pomaga w pracy, znikł gdzieś niezbędny dla stałego doskonalenia się i rozwoju moment współzawodniczenia rzemiosł artystycznych. Wydaje się, że przyczynił się do tego między innymi brak jakiegoś ośrodka, w którym mogłyby odbywać się nieduże, indywidualne wystawy typu warsztatowego, połączone z dyskusjami roboczymi.

Jest rzeczą zrozumiałą, że przed trzema laty pierwsze, najsilniejsze uderzenie wymierzone zostało w stronę formalizmu, wtedy najistotniejszego niebezpieczeństwa. Ostatnie wystawy dowiodły jednak, że istotnego znaczenia nabrało teraz również niebezpieczeństwo naturalizmu, sygnalizowane w przemówieniach tow. Hoffmana i Sokorskiego. Estetyka marksistowska zakłada widzenie świata poznawcze i emocjonalne, zakłada, że obraz realistyczny, obojętne w tym wypadku czy literacki, czy plastyczny, organizuje rzeczywistość, selekcjonuje jej elementy, odrzucając nieważne, nieistotne, a zatrzymując i podkreślając cechy typowe, istotne dla zjawisk naszego życia. W jednym z przemówień nazwano naturalizm spojrzeniem na świat kołtuna, ten sposób patrzenia zauważył już kiedyś Ju-

lian Tuwim w wierszu o „strasznych mieszczańach”:

„I oto idą zapięci szczerze,
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc — widzą wszystko
o d d z i e l n i e;
Ze dom... że Stasiek... że koń...
że drzewo...”

Naturalizm jest fałszywym zaobserwowaniem szczegółów podnoszonych do rangi uogólnień, prowadzi do fałszywego obiektywizmu, jest wrogiem realizmu, tak jak i formalizm.

Do zwiększenia nieporozumień w kryteriach oceny dzieł plastycznych przyczynił się jeszcze mylny pogląd niektórych kolegów, którzy utożsamiali w swych wypowiedziach pojęcie romantyzmu rewolucyjnego z drobnomieszczańskim ekliwim sentymentalizmem.

Chciałbym krótko zatrzymać się nad skutkami, jakie powyższe nieporozumienia pociągnęły za sobą w krytyce artystycznej, w zagadnieniach oceny dziedzictwa kulturalnego. Trudno wprawdzie mówić o krytyce artystycznej, w ciągu ostatnich lat nie było jej prawie wcale widać — historycy sztuki niechętnie wychodzili poza wiek XIX, piszących malarzy można policzyć na palcach jednej ręki, nowych kadr jakoś nie było widać. Ta sytuacja ulega w chwili obecnej pewnej poprawie, trzeba się jednak zająć przede wszystkim zagadnieniem przygotowania nowych kadr krytyków plastycznych. Chcielibyśmy, aby krytyce artystycznej pomogli również pisarze, aby częściej przemawiał Adam Ważyk, autor 2 pięknych szkiców literackich o malarstwie, zamieszczonych w tomie „W stronę humanizmu”, aby częściej i szerzej zabierał głos Jan Kott i wielu innych pisarzy, których zagadnienia te żywo obchodzą.



Jan Marcin Szancer

Wydaje się, że lekceważenie zagadnienia naturalizmu oraz zapominanie, w praktyce, o podstawowej tezie estetyki marksistowskiej — o jedności formy i treści, spowodowało nie zawsze słuszną ocenę naszego historycznego dorobku kulturalnego, zwłaszcza z okresu XIX w. Krytycy zapominali często o tym, jakie treści, nierozłącznie związane z formą, nosiły w sobie prace, wysuwane jako wzory, jako punkty wyjścia do dalszej drogi. W ten sposób nastąpiło zwięźlenie pojęcia realizmu socjalistycznego, w sensie warsztatowym, do pojęcia wyłącznie warsztatu XIX to-

wiecznego, nie uwzględniając treści, pojęć, ówczesnie z tym warsztatem związanych. Trudno przewidzieć, w jaki sposób będą się kształtować współczesne formy artystyczne, wydaje się, że należy pozostawić pewną swobodę umożliwiającą każ-



Aleksander Kobzdej

demu artyście odnalezienie jak najbardziej szczerzej, indywidualnej wypowiedzi i osobistych związków z tradycją. I tutaj właśnie mieści się rola krytyki, która nie powinna ograniczać się do opisywania tego co widzimy na obrazie, lecz czujnie reagować na wszystkie przejawy nurlujące naszą sztukę, oceniać ich stosunek do narodowej spuścizny kulturalnej, wartościować ich znaczenie dla dalszego rozwoju realizmu socjalistycznego, analizując zaś poszczególne dzieła, umiejscawiać je w dotychczasowym dorobku autora. Dotychczas bowiem krytyka grzeszyła niejednokrotnie abstrakcyjnością sądów, nie pamiętała, że słaby nieraz obraz może być dużym krokiem naprzód, przełomem nawet w twórczości artysty. Krytyka, tak jak i plastyka, winna wyzbyć się „kompleksu poprawności”, że użyję terminu stworzonego słusznie przez Janusza Boguckiego dla określenia zjawiska, występującego w twórczości niektórych plastyków. Musimy z większą odwagą, z większą pasją i żarliwością wykrywać nowe problemy i konflikty rzeczywistości, atakować śmiało problemy malarskie.

Jest to możliwe tylko w jednym wypadku, w wypadku głębokiego zaangażowania się w walce całej postępowej ludzkości o pokój i socjalizm, w wypadku ideowego i emocjonalnego związania się z dążeniami i marzeniami klasy robotniczej.



Konrad Szrednicki

Chcemy, aby dzieło plastyczne przemawiało z taką siłą, aby zawiązało w sobie taką wiedzę o świecie, jaką zawierały dzieła klasyczne. To nie znaczy wcale, że malarstwo ma się ograniczyć do wielkiej kompozycji figuralnej; chcemy, aby przyszłe pokolenia dowiedziały się ze współczesnego portretu tyle o dzisiejszym człowieku, ile my dowiadujemy się o ludziach renesansu z wioskowego portretu doby odrodzenia; chcemy, aby pejzaż dzisiejszy mówił nam tyle o świecie i ludziach, aby był taką apoteozą pracy i życia, jaką jest pejzaż Breughela; chcemy, aby również martwa natura w swoisty sposób odzwierciedlała zachodzące przemiany, tak jak odzwierciedlała dążenia i ideały mieszczaństwa XVIII w. martwa natura Chardina, który pierwszy „włożył pewność moralną w gospodarce funkcje kołtunów, w najwyklesze czynności gospodarce, jak kwascenie kapusty, w kłosc z owocami” (Adam Ważyk „W stronę humanizmu”); chcemy w końcu, aby niepokój i wielkość naszego czasu przebiegały z każdym obrazem, rzeźbą, rysunkiem, tak jak zamknął je w swej twórczości wielki Honoré Daumier. Sądzę, że tak należy pojmować nasze powiązania z wielkimi tradycjami sztuki europejskiej.

Wielką pomocą w naszej pracy winny być umiejętnie wykorzystane doświadczenia towarzyszy radzieckich. Mówił o tym na Zjeździe min. Sokorski: „Istota wielkości i przodującej roli sztuki radzieckiej polega na tym, że jest to sztuka kraju, który dokonał pierwszy wyzwolenia człowieka dzięki socjalistycznej rewolucji. Jest to sztuka kraju, który prowadzi dzisiaj walkę o pokój i socjalizm. Jest to sztuka, która potrafiła zamknąć w swym

obrazie artystycznym prawdę o człowieku, która rozstrzygnęła problem narodowego charakteru sztuki przy socjalistycznej treści. I dlatego my na tej sztuce, na jej osiągnięciach, na jej procesie rozwoju uczymy się i będziemy się uczyć. Nie chodzi tutaj o to, aby dosłownie naśladować taki czy inny styl takiego czy innego malarza radzieckiego. Tow. Stalin mówił o tym, że sztuka każdego kraju jest w treści socjalistyczna a w formie narodowa. I właśnie te treści socjalistyczne są nam wspólne, są nam wspólne idee socjalistyczne, stosunek do człowieka, stosunek do zbudowania ustroju bez ucisku i wyzysku, zagadnienie wydobycia narodowego charakteru. Oto co sztuka radziecka nam dała i czym nas prowadzi naprzód.”

W toku dyskusji na Zjeździe poruszono jeszcze szereg innych zagadnień, niejednokrotnie bardzo istotnych, stanowiących temat dla osobnych rozważań. Tutaj chciałbym tylko krótko wyliczyć najważniejsze.

1) Zagadnienie ściślejszego kontaktu z terenem, najczęściej sprzeczności i przypadkowości. Znajomość kraju i ludzi jest niezbędnym warunkiem wykonywania pracy twórczej, nowe władze związkowe winny ująć to zagadnienie w ramy organizacyjne i pomagać członkom Związku w wyjazdach.



Jerzy Fedkowicz

2) T. zw. sprawy bytowe, a więc ubezpieczeń, pracowni, zakupów, których skuteczne załatwienie będzie zależało od planowej współpracy między zarządem Związku, Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz Centralnym Zarządem Instytucji Sztuk Plastycznych z jednej strony, a organizacjami społecznymi z drugiej.

3) Zagadnienie ściślejszej współpracy plastyków z architektami, zwłaszcza na terenie Warszawy wysuwające się jako zagadnienia zasadniczej wagi. W chwili obecnej współpracą ta jest przypadkowa, plastyk nie bierze udziału w projektowaniu obiektów, czy założeniach architektonicznych, jego wkład jest najczęściej tylko nie bardzo związanym dodatkiem, a nie częścią integralną projektu. Nie sądzę, aby architektura socjalistyczna mogła obyć się bez wkładu rzeźbiarzy i malarzy, czas nagły, w tej chwili powstają w stolicy setki nowych obiektów, nowe dzielnice, a tymczasem sprawa wspólnego działania przedstawicieli wszystkich dyscyplin plastycznych, nie została jeszcze rozsuną od podstaw. Białe ściany nowoutworzonych klubów, czytelni, lokali gastronomicznych i kawiarni same proszą się o freski, czy sgraffita naszych malarzy, grafików, karykaturzystów.

4) Sprawy statutowe, które znalazły swe rozwiązanie w uchwaleniu poprawek statutowych, zmieniających dotychczasową, przestarzałą strukturę Związku (federacja sekcji), na nowoczesną demokratyczną, podobną do statutu Związku Zaw. Literatów Polskich.

W końcu Zjazd wybrał nowy zarząd główny, którego skład był już podawany na łamach „Nowej Kultury”.

Wypełnienie stojących przed nami zadań, rozwiązywanie stawianych przed nami trudnych i skomplikowanych problemów wymaga wielkiego wysiłku, również wielkiego jak ten, który wkłada klasa robotnicza w uprzemysłowienie kraju i budowę nowych miast, osiedli, fabryk. Dokona nas rosną i budują socjalistyczny dom setki tysięcy nowych ludzi, tych, którzy będą kształtować przyszłość Polski. Nie wolno pozostać w tyle, musimy włączyć się do wielkiego wysiłku tworzenia nowego życia. Czas ucieka, jeżeli zacniemy obserwować życie, przekonamy się, że obrazy mijają tak szybko, iż ledwie zdążają utrwalic się na soczewce oka. Dziś, po niewczasie, spostrzegamy, że nie mamy właściwie, poza tęgą Kulisiewicza, żadnego innego dokumentu artystycznego zniszczonej Warszawy, tej z lat 1945 — 46. A czas nie powraca.

Jan Lenica

tego niezbyt skuteczna, choć wielu z nich zginęło, to jednak „pozostają młodzi”, bo żyją w pamięci swej klasy, są dla niej upomnieniem i drogowskazem. Oto istotny sens i prawda powieści Anny Seghers, prawda optymistyczna, której głównymi nosicielami i symbolami są dwaj umarli, dwaj zamordowani. Erwin i Hans, spinające powieść niby kłamry, zarówno ideowo jak kompozycyjnie. I oni też nadali powieści tytuł.

Nie zmienia to jednak faktu, że wszyscy przedstawiciele obozu walczącej lewicy są w książce pośpisznie lub epizodycznie ukazani, co niewątpliwie razi w zestawieniu ze starannymi i sugestywnymi ukształtowaniami postaci i losów bohaterów negatywnych lub ideowo chwiejnych czy obojętnych. Tak jak w wszystkich powieściach autorki — poza „Towarzyszami” i „Siódmym Krzyżem” — w „Umarłych” antyfaszystowskie bojujony snują się na marginesie i tak jak we wszystkich powieściach — wyłączając tylko częściowo „Towarzyszy”, a nie wyłączając „Siódmego Krzyża” — Partia Komunistyczna jako organizacja, jako ośrodek kierowniczy i ideologiczny walczącej awangardy proletariatu, pozostaje prawie zupełnie w cieniu. Jeżeli się zaś zważy, że KPD — Komunistyczna Partia Niemiec — mimo licznych popełnionych błędów i mimo ciężkich przesładowań odgrywała, szczególnie w okresie Republiki Weimarskiej, wielką i doniosłą rolę, a później była jedynym ośrodkiem ruchu oporu, to trzeba stwierdzić, że ze szkoda dla bezbłędnej prawdy książki Anny Seghers tej roli dostatecznie nie pokazała.

Poza tym jednak „Umarli pozostają młodzi” jako literacki dokument epoki są wybitnym osiągnięciem pisarki, analiza najistotniejszych źródeł hitlerizmu w Niemczech jest w nich pełna, a pod względem artystycznym ustępują tylko „Siódmemu

Krzyżowi”. Podobnie jak w „Towarzyszach”, w „Umarłych” nie ma tzw. głównego bohatera, względnie bohaterów, i podobnie jak tam również tu losy wielu postaci i grup rozwijają się równoległe, nie krzyżując się ze sobą. O ile jednak w książce z 1932 r. Seghers nie dała sobie jeszcze rady z tym niezwykle trudnym schematem kompozycyjnym, i nie uniknęła fragmentaryczności, o tyle w omawianej powieści odniosła i pod tym względem piękny sukces. Z małymi bowiem wyjątkami wszystkie narracyjne nie powiązane wątki łączą się mimo to w jedno wielkie, epickie malowidło dzięki jasnej, trafnej i opisywanego okresu wyłonionej prawdy o ówczesnej rzeczywistości. Tak więc samej historii dzieła zawdzięcza niejako swą zasadniczą konstrukcję. Styl książki jest ściśle realistyczny, oszczędny, prosty, miejscami prawie że nazbyt sprawozdawczy i beznamiętny. Odnosi się wrażenie, że autorka, chcąc sprostać trudnemu zadaniu zamknięcia olbrzymiego tematu w możliwie zwartej formie, nałożyła sobie duże rygory, o czym świadczy również wstrętność w obrazowaniu. Dopiero pod koniec, gdy przyszło jej opisać katastrofę licznych postaci, zdobywa się na bardziej dramatyczne akcenty, a styl nabiera większego rozmachu i „ciepła”.

Wydaje się, że książka „Umarli pozostają młodzi”, dziełem jeszcze na wprost emigracyjnym, Anna Seghers zamknęła — w każdym razie chwilowo — swój wielki cykl powieści o „narodzie na manowcach”, by posłużyć się tytułem cytowanej już pracy Abuscha. Powieści te, ukazujące dramaty Niemiec, rozpad burżuazyjnego społeczeństwa w epoce imperializmu i faszyzmu, rozkład burżuazyjnej moralności, która skapitulowała przed hitlerowskim barbarzyństwem, ukazywały za razem, czasem niedostatecznie, zbyt frag-

mentarycznie a jednak wymownie, siły młode, niesące poprzec noc cierpienia i zagłady pochodnie socjalistycznego jutra. Dlatego też wszystkie te dzieła można nazwać „optymistycznymi tragediami”. „Optymistyczne tragedie” zaś powstają zawsze pod piórem pisarzy walczących. Taką pisarką walczącą w najniższym słołogowym, w najgłębszym znaczeniu tego określenia jest Anna Seghers. Wreszta cała jej twórczość jest przeciwieństwem sloganowości i bardzo schematyczna.

Udowodniła to niedawno szczególnie dobitnie tomikiem ściśle politycznych opowiadań pt. „LINIA” (8) pokazującym w artystycznie prostej zwartej i pięknej formie, jak trzej towarzysze — Chińczyk, Francuz i chłop radziecki, odcięci chwilowo z różnych przyczyn od swoich władz partyjnych, oceniają jednak słusznie daną, niezwykle zawiąkną sytuację i słusznie postępują dzięki dokładnej znajomości ogólnej linii partyjnej. Tymi trzema towarzyszami autorka przemalała też swe uprzednie trudności w przedstawianiu ludzi aktywnej walki, pełnych komunistów i pełnych ludzi zarazem. Z dawnego „kompleksu” uciekinierów i ofiar nie pozostało tu ani śladu, np. Franuz Gilbert właśnie w więzieniu staje się bardziej świadomym, twardym bojownikiem.

Podobnym bojownikiem jest też wzięty z historii bohater i przywódca walk społecznych i politycznych wzywolenie Murzynów, b. niewolnik, generał Toussaint l'Ouverture, którego losy Seghers opisuje w opowiadaniu tytułowym „WESELE NA HAITI” (9) (1949), książki będącej je-

8) Anna Seghers „Linia”, tłum. Maria Wirpsza-Kurecka, str. 61. Czytelnik, 1950.

9) Anna Seghers „Wesele na Haiti”, tłum. Adolf Sowiński, str. 122. Czytelnik, 1951.

Egon Naganowski

ZOFIA WOŹNICKA

Nowy schemat czy stara sztampa?

Dużo się mówi ostatnio o schematach i niedokrwistości naszej powieści. Krytyka surowo wypomina błędy — podkreśla jednak, że wszelkie zarzuty mają na celu zminimalizowanie pisarzy do tym większego wysiłku. Jeżeli literatura w tym, co jest w niej nowe i cenne, wybina nieporadna, to nie znaczy, że wolno chichem wprowadzać stare, drobnomieszczańskie sztuczki. Sztuki produkcyjne bywają nużące — ale to nie znaczy, że należy pisać o produkcji... zdjęć pornograficznych.

Wszystkie te nie nowe i jasne prawdy trzeba jednak widocznie stałe, do znudzenia podkreślać, bo zdarzają się pomyłki. Ostatnia powieść Jana Kurczaba pt. „Brama Brandenburska” może służyć za przykład takiej pomyłki.

Temat książki jest istotnie ważny: nowe, powojenne Niemcy. Rozdarty, pełen konfliktów Berlin. Z jednej strony to, co nowe i żywe — z drugiej zgnilizna i groza. Ale temat nie tworzy jeszcze książki. Kiedy powaga tematu pozostaje w jasnej sprzeczności z miernością poświęconego mu dzieła, powstaje przykre dysonans.

Powieść Kurczaba miała mówić o przemianach niemieckiej młodzieży, o wspaniałej organizacji F.D.J. — ale w istocie przez ¾ książki śledzimy perypetie wiosennego kostiumu panny Ditty.

Ponieważ sprawa Ditty stanowi 65 powieści, ponieważ poszczególne osoby łączy tylko to, że znają one Dittę — przyjrzymy się głównej bohaterce i zasadniczemu konfliktowi:

Panna Ditta, córka krawca, właściciela małego warsztatu, poczwierca i, jak się następnie a niespodzianie okaże — bohaterka, siostra aktywisty F. D. J. Kochana przez brała i ojca, którzy się o nią bardzo troszczyli, zbacza, jak to się mówi, „na złe drogi”. Właściwie nie przestaje być „moralną”, mimo to że wchodzi się z amerykańskim spekulancem; pozuje do zdjęć pornograficznych, wyłudza od swego przyjaciela materiał na kostium. We śnie somnambulizmem chyba zapewnia Dittę swego przyjaciela, że do niego przyjdzie, we śnie przychodzi, żeby po melodramatycznej scenie unieść swoją czysto nieśkalaną. Tego rodzaju kabaretowe lile były i myślę, że na Zachodzie są nadal bardzo popularne w brukowych powieściach.

Siostra aktywisty F. D. J. nie wie, co się dzieje na świecie — w 1951 r., dowiaduje się przypadkowo w podmówczym paniku zachodzącym w sektorze Berlina, że istnieje niebezpieczeństwo nowej wojny. Dowiaduje się o tym od przegdanego znajomego na dancingu, aby następnie urządzić walc, rozczulającą, a nieprawdopodobną scenę. Gayby somnambulizem i brak odpowiedzialności Ditty były przestawione przez autora jako rzecz czuwa, nie niepokoiłyby do czytelnika. Jest w tym jakiś przykry smaczek „zrozumienia i wybaczenia z pozycji klasowych”. S.S.-mann Rudi tak tłumaczy jej rozwydrzenie: „Ciasne mieszkanie w walącym się domu, bezrobocie ojca, etc.”. A Ditta słucha tego i pewnie kiwa głową. W ten sposób Ditta dostaje mechanicznie „socjologiczne” rozgrzeszenie swoich czynów.

Podział młodzieży niemieckiej przebiega w tej książce po takiej linii: z jednej strony obojętne F. D. J., z drugiej — zepsute dziewczęta, które chcą niemoralnych strojów. Ze sprawy demoralizowanej i wyniszczanej młodzieży niemieckiej pozostaje tylko świętoszkowate oburzenie na panny lubiące ładne suknie. Oto dlaczego demoralizuje się jedna z dziewcząt:

„Znała dobrze język francuski i chętnie rozczytywała się w „magazynowej” literaturze, jaką za bezcen można było nabyć w nieograniczonej ilości w każdym punkcie Berlina”. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z działania tej literatury, ale podawanie jej za jedyną i ostateczną przyczynę „upadku” — to niefrasobliwa powierzchowność. Przyczyny i skutki społeczno-polityczne wykołajania się niemieckiej młodzieży, rozpacz, którą podziłyte są zbyt wesołe zabawy — tego w książce nie ma. Po prostu Ditta ma słabostkę do strojów i tę jej słabostkę przewycięża F. D. J. — „Eddie wam w tych bluzkach (F.D.J.-towskich), córki! — Prawda? — ucieczyły się obie. — Ładniejsze od wszystkich najwymyślniejszych strojów kobiecych — zapewniła Ditta, przypomniały sobie coś poglądziła swoją bluzkę i powiedziała: „Nie chcę już żadnego innego kostiumu wiosennego”.

Ditta zrobiła się skromna w ubiorze. I to tyle na zakończenie książki o wielkiej organizacji niemieckiej młodzieży?

Każdy rozdział „Bramy Brandenburskiej” — to jakieś spotkanie, rozmowa, prowadzona od początku do końca, z przywitaniem i pożegnaniem. (Ponaterka idzie do kawiarni — rozmawia — wychodzi). Taki schemat, bardzo ubogi, powtarza się uporczywie i taka właśnie konstrukcja pozwala czytać książkę, „od środka” i na wyrywki, co jest znamienne dla techniki powieści drugorzędnej, „rozrywkowej”.

W potoku łatwych skojarzeń, banalnych dialogów, automatycznie przełyka czytelnik wiadomość, że

Ditta zdecydowała się na taki czy inny niepocztywalny krok. W drugiej ręce powieści nieważna jest motywacja ludzkich czynów, tak jak i ludzie są nie ważni. Ważne są tylko scenki. W scenkach uczestniczą jakieś figury, jest ich nawet sporo, sztuczny tłok tak np. charakterystycznych postaci: „niski, gruby jegomość o gęstej czuprynie... Zastali młodego, również bledniętego ubranego chłopca... Dziewczęta kpiły z podatusiałego lowelasa, będącego w domu typowym fantofiarzem...” Dość dużą rolę w powieści odgrywa Harry, amerykański spekulant i (na słowo) wielki polityk. Jest on oczywiście świnią, ma grube palce i pali cygaro. Obok niego — byłoby SS-mann, kanalia, ale upojony kochankiem: „Ja jestem drań, pięcioletni zwierz, czuję się, dopadam i pozeram” — mówi o sobie.

Z postaci pozytywnych najbardziej skomplikowany wydaje się ojciec Ditty, na początku skromny krawiec, drobnomieszczanin, który nie wie nawet (w 1950 r.), co oznacza inicjały F. D. J., w połowie książki przedzierzga się bez żadnego umotywowania w działacza i chociaż jest bardzo dzielny, i chociaż jest bardzo dzielny, i chociaż go aresztują, niesposób opędzić się myśli, że przemiana jego jest sztuczna, i że sprawa jego została do książki szczerze wmurowana; widocznie kostium panny Ditty okazał się zbyt słabą podporą dla całej powieści i ojca sprowadzono córce w sukurs.

Z konsekwentnym tonem książki kolidują długie perory, deklaracje polityczne, informacje o F. D. J. Opracowanie tego materiału jest bardzo powierzchowne, deklaracje naiwne, informacje chaotyczne. Materiał tych wstawek przypomina jednak, jak ważną sprawę książka odklepuje (trudno wyrazić się inaczej), przypomina, że nie mamy do czynienia ze zwykłą drugorzędną powieścią, że były tu jakieś inne, większe ambicje.

Przed pisarzem, który chce po polsku pisać powieść z niemieckiego środowiska, wylania się, naturalnie, sprawa języka. Jak oddać obcojęzyczność bohaterów?

To zadanie zostało rozwiązane, przynajmniej w połowie. Bohaterowie „Bramy Brandenburskiej” na pewno nie mówią po polsku. Nie mówią też po niemiecku, mówią najbardziej beznarodowym, wykwinnym językiem szmiry. Kiedy się już raz do niego przywyknie, język ten nie razi i nie zaskakuje niczym. Nie szkodzi, że Amerykanin Harry mówi zupełnie tak samo jak rodowici Niemcy, że pozytywni bohaterowie, po wydaniu kilku obowiązujących okrzyków („Ale jak wspaniale! Jakże imprezy szczytujemy” etc.), także wpadają w ten styl. „Weronika, Wielka Miłość Maharadży” porozumiałaby się świetnie w tym towarzystwie.

Oto garść przykładów: Bert zdmuchiwał pianę, której brak w kufiu wydużał miny czekających. (str. 14).

— Nie miała w sobie wesołości Lucy, ale burzliwość pierwszego wrazenia minęła już, pozostawiając odprężenie, będące pośrednim stanem między uczuciem sprakowania się, a chęcią śmiechu — (str. 24).

— Lucy była wrażliwa na każdy przejaw adoracji ze strony Harrego pod adresem Ditty (str. 25).

Dialog liryczny: Ja mam dużo takich chwil, które chętnie oddałabym komuś. — Komuś? W to wierzę! Ale ojcze? — Nie, wiesz, jak bym najchętniej zrobiła? Komuś i ojcze? Bardzo chciałabym być z tobą często naprawdę (str. 43).

— Nie potrzebowała jego rady ani pieniędzy, jedno i drugie miała już niejako za sobą (str. 49), aforyzmy: — Naiwność jest rozkoszą w miłości a utrapieniem w restauracji. Ja mogę służyć tylko apetytem (str. 50).

— gdyby nuda miała być powodem rozwodów towarzyskich, ludzie chodziliby po świecie samotni jak czaple (str. 27).

Młodzieniec pozytywny: — Dziś każda godzina życia daje myślicemu człowiekowi wspaniałe emocje o zasięgu ogólnopaństwowym, ba, nawet ogólnoludzkim (str. 53).

— puszyste dywany hoteli tłumy niespokojne stukanie awanturowanego się czasem serca (str. 55).

Przytoczyłam, tylko pewne zdania wyrwane z tekstu. Chcąc przekonać o efektach tego stylu oddaję głos autorowi. Kulminacyjna scena: Ditta przyszła błagać swego amerykańskiego przyjaciela o osobobdzie ojca. Przyjaciel odpowiedział jej za ojca tę samą cenę, co uprzednio za materiał na kostium. Tego jest Dittie za wiele, i: „w tej samej chwili cygaro wyleciało wielkim łukiem na dywan, bo obie pięści Ditty zawirowały przed jego twarzą zacepiając o nos, głowę, brode...” Teraz i Harry ma dosyć: — (Ditta)... całym ciałem upadła ciężko i głośno na podłogę... Jeszcze zanim odczuła ból upadku, zanim uświadomiła sobie swoje położenie, poczuła silne zgarnięcie materiału na plecach i bezwolna jak worek, ciągnięta silnym chwytem Harrego ku drzwiom, uderzyła w nie głową i znalazła się na szorstkim dywanie przedpołożu. Próbowała zerwać się z podłogi, ale potrącona z tyłu trafiła ciałem w otwartę drzwi na korytarz... (str. 175).

My też mamy dosyć. Droga powrotu do starej sztampy nie „ciągnie nas silnym chwytem” — to droga zamknięta. Tylko po co się takie książki wydają?

Zofia Woźnicka

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Zainteresowania PIW-u skupiają się głównie — jak to można wnioskować przeglądając wydawnictwa tej instytucji za rok 1951 — na klasycznym, w najszerszym tego słowa znaczeniu, dorobku naszym i obcym, w dziedzinie nauki, sztuki i literatury. Nie znaczy to, aby współczesna nasza twórczość literacka, czy też przykłady ze współczesnych dzieł literatury obcych — nie były objęte zasięgiem działalności tej instytucji. Trzeba wszelako podkreślić, że nie stanowią one głównej doneny zainteresowań PIW-u.

Omówienie działalności PIW zaczniemy od zwrócenia uwagi na trzy specjalne naukowe redakcje, pracujące nad określonymi zagadnieniami. Pierwszą z nich jest Redakcja Słownika Języka Polskiego, która pod kierownictwem prof. Doroszewskiego zajmuje się opracowaniem „Słownika współczesnego języka polskiego”. Zeszły próbnny tego słownika, który ukazał się w roku zeszłym, wywołał ożywioną dyskusję. („Nowa Kultura” drukowała w numerze 86 fragmenty z dyskusji, jaka odbyła się nadowym zeszłym próbnym na Sekcji Prozy Warszewskiego Oddziału ZLP). W roku bieżącym kontynuowane będą prace nad Słownikiem Języka Polskiego. Specjalne redakcje, działające pod kier. prof. Żółkiewskiego i Kurdybachy, zajmują się przygotowaniem pełnego wydania dzieł wielkiego humanisty, Andrzeja Frycza-Modrzewskiego. W roku 1952 ukaże się przekład dzieła Frycza pod łacińskim tytułem „De Republica emendanda” („O naprawie Rzeczypospolitej”). Autorem tłumaczenia jest znany literat i tłumacz, Edwin Jędrkiewicz. W tymże roku odbędzie się zjazd naukowy poświęcony Fryczowi i epoce, zorganizowany przy udziale Instytutu Badań Literackich, oraz wydanych będzie przez PIW kilka prac o Fryczu, m. in. monografie pióra Wilhelma Billiga i prof. Kurdybachy.

Trzecią specjalną redakcją PIW-u jest „Komitet Redakcyjny Biblioteki Klasyków Filozofii”, powołany do życia przez Prezesa Rady Ministrów w pierwszej połowie ubiegłego roku. Na czele Komitetu stoi prof. Kotarbiński. Zadaniem tej Biblioteki jest zapelnienie luki, jakie istnieją w dziedzinie przekładów najwybitniejszych dzieł filozofów obcych, jak również przygotować reedycję pozycji rodzimych, będących pomnikami polskiej postępowej myśli filozoficznej. O „Bibliotece Klasyków Filozofii” postaramy się zamieścić na łamach naszego piśma specjalny artykuł, dziś zasygnalizujemy tylko, że plany wydawnicze tej Biblioteki przewidują odanie do rąk czytelników w 1952 roku 9-ciu pozycji. Znajdzie się tam m. in. „Pismami filozoficznymi” i Feuerbach z książką „O istocie religii”. Wznoviony zostanie — w nowym opracowaniu prof. Kotarbińskiego — przekład „Logiki” Condillaca, pióra Jana Znosko, datujący się z 1802 r.

W bieżącym roku ruszy również, obiecywana już od dawna, „Biblioteka Myśli Postępowej”. Koncepcja jej ulega pewnym zmianom, gdyż pozycje ściśle filozoficzne objęte zostały przez „Bibliotekę Klasyków Filozofii”. Obecnie „Biblioteka Myśli Postępowej”, w skład której wchodzi dzieła z zakresu klasycznej publicystyki filozoficznej, przeznaczona jest dla szerszego czytelnika, naturalnie z pewnym przygotowaniem. W Bibliotece tej ukażą się w najbliższym czasie: „Rozprawa o metodzie” i „Myśli filozoficzne” Diderota, „Listy filozoficzne” Woltera i „O prawodawstwie” Mably'ego.

W ramach innej serii wydany zostanie cykl „Pamiętników robotników”, obejmujący materiał uzyskany w roku zeszłym na konkursie PIW-u i Polskiego Radia. Pamiętniki te, pomyślane jako dokument epoki, wydane będą jako autentyczny — bez szlifów literackich. Jak wnosić można z nadawanych w programie Polskiego Radia ulamków tych pamiętników — będzie to wydawnictwo nadzwyczaj interesujące. W ramach drugiej serii, która pokaże nam ludzi i epoki historyczne, opublikowany zostanie m. in. niedrukowany dotąd „Pamiętnik szlachcica” pióra Łuszkowskiego, pochodzący z XIX w. Tutaj również ukaże się „Dziennik” Samuela Pepysa w tłumaczeniu Marii Dąbrowskiej. Tak więc podstawowe dzieło 17-towiecznej literatury angielskiej udośćpionę zostanie po raz pierwszy czytelnikowi polskiemu. Uzupełnieniem „Dziennika” Pepysa będzie szkic Juliana Hochfelda „Epoka, która wydała Pepysa”.

W roku 1952 rozpoczęte zostaną prace nad fundamentalnymi dziełami kultury polskiej wydawnictwami. Ukończony zostanie już druk technika fotokopii 6-ciu tomów „Słownika” Lindego. Tą samą techniką wydane zostaną również: „Słownik Warszawski” oraz „Słownik etymologiczny” Brücknera. Pod redakcją profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Rysiewicza, trwają prace nad opracowaniem nowego „Słownika wyrazów obcych”, obejmującego 16 tys. haseł.

Każdy dział opracowywany jest przez specjalny kolektyw naukowców. Trwają również, pod nac. red. prof. Budzkiego, prace nad nową bibliografią literatury polskiej, opartą o tzw. „blok Korbuta”. Dzieło Korbuta poddane zostanie rewizji i jest uzupełniane aż po pozycję r. 1951. Jeden

z tomów tego wydawnictwa — przewidziane są cztery tomy z terminem do 1954 r. — powinien się ukazać pod koniec bieżącego roku. PIW planuje również wydanie czterotomowej rozumowanej bibliografii Mickiewiczowskiej, opracowywanej przez Aleksandra Semkowicza. W związku z rokiem gogolowskim wydana będzie bibliografia „Gogol w Polsce”, następnie zaś bibliografia — „Tołstoj w Polsce”.

Szeroko zakrojone są prace nad klasykami literatury polskiej. Przygotowywane jest nowe, krytyczne wydanie Fredry pod redakcją prof. Pigońa z przedmową Kazimierza Wyki. Cztery pierwsze tomy pójdą do druku w bieżącym roku. Dalsze pozycje z klasyki polskiej, które wymienić należy, to: „Wybór pism” Jeżewskiego ze wstępem prof. Ziomka z Wrocławia; wybór pism satyrycznych Śniadeckiego; pełne, krytyczne wydanie Trembeckiego, opracowywane przez prof. Kotta; wybór pism Jana Kochanowskiego, przygotowywany przez Juliana Krzyżanowskiego i in. Prof. Krzyżanowski drukuje również „Historię literatury polskiej” (do romantyzmu). W roku bieżącym ukończona będzie edycja pism Henryka Sienkiewicza (60 tomów), ostatnie tomy zawierają będą m. in. pełną bibliografię druków tego pisarza oraz literatury o nim. W opracowaniu prof. Sydwa ukażą się „Listy” Szopena, a w ramach cyklu, który objął dotąd Nalkowskiego i Krzywickiego — „Wybór pism” Sygietyńskiego, zawierający rozprawy estetyczne oraz pisma społeczne Krusińskiego.

W dziedzinie klasyki obcej przygotowywany jest Wybór pism Goethego, obejmujący dramaty (m. in. „Fausta”) oraz poezję. Wybór tych ostatnich stanowić będzie antologię najlepszych tłumaczeń, jakimi pochlubić się może nasza literatura przekładowa. Poza tym wydany zostanie wybór z „Rozmów Eckermannna z Goethem”, tłumaczony przez M. Leśniewską i W. Macha. Z planowanego, zbiorowego wydania Szekspira na razie ukażą się poszczególne tomiki, a więc: „Hamlet”, „Ryszard III” i „Kupiec wenecki” w przekładzie R. Brandstaettera, oraz „Sen nocy letniej” w tłumaczeniu K. I. Galszczyńskiego. W ramach popularnej już dziś biblioteki teatralnej PIW-u wydanych będzie kilka tomików dramatów Shawa, kontynuowany będzie Gorki i Ostrowski, ukażą się sztuki Czechowa w tłumaczeniu A. Sandauera oraz wszystkie sztuki Lwa Tołstoj w przekładzie J. Pomorskiego, dalej Lope de Vega, Jirasek itd. Ukażą się również tragedie Ajschylosa w przekładzie i opracowaniu prof. S. Srebrnego. Z klasyki rosyjskiej na czołowym miejscu wymienić należy „Annę Kareninę” Tołstoj w nowym przekładzie Rukawickiego. Wydany będzie również, nieznanym u nas zupełnie, klasyk literatury rosyjskiej, Sergiusz Aksakow (1817 — 1859), oraz monografia Jermiłowa o Czechowie, zaś z cyklu pamiętników książki Repina, Panajewa i in.

Państwowy Instytut Wydawniczy nie zapomina również o sztukach pięknych. Album Wita Stwośca, który spotkał się z wielkim uznaniem,

Z wizytą u wydawców

W dziedzinie klasyki obcej przygotowywany jest Wybór pism Goethego, obejmujący dramaty (m. in. „Fausta”) oraz poezję. Wybór tych ostatnich stanowić będzie antologię najlepszych tłumaczeń, jakimi pochlubić się może nasza literatura przekładowa. Poza tym wydany zostanie wybór z „Rozmów Eckermannna z Goethem”, tłumaczony przez M. Leśniewską i W. Macha. Z planowanego, zbiorowego wydania Szekspira na razie ukażą się poszczególne tomiki, a więc: „Hamlet”, „Ryszard III” i „Kupiec wenecki” w przekładzie R. Brandstaettera, oraz „Sen nocy letniej” w tłumaczeniu K. I. Galszczyńskiego. W ramach popularnej już dziś biblioteki teatralnej PIW-u wydanych będzie kilka tomików dramatów Shawa, kontynuowany będzie Gorki i Ostrowski, ukażą się sztuki Czechowa w tłumaczeniu A. Sandauera oraz wszystkie sztuki Lwa Tołstoj w przekładzie J. Pomorskiego, dalej Lope de Vega, Jirasek itd. Ukażą się również tragedie Ajschylosa w przekładzie i opracowaniu prof. S. Srebrnego. Z klasyki rosyjskiej na czołowym miejscu wymienić należy „Annę Kareninę” Tołstoj w nowym przekładzie Rukawickiego. Wydany będzie również, nieznanym u nas zupełnie, klasyk literatury rosyjskiej, Sergiusz Aksakow (1817 — 1859), oraz monografia Jermiłowa o Czechowie, zaś z cyklu pamiętników książki Repina, Panajewa i in.

Państwowy Instytut Wydawniczy nie zapomina również o sztukach pięknych. Album Wita Stwośca, który spotkał się z wielkim uznaniem,

Orkiestra symfoniczna Filharmonii Warszawskiej obchodziła pierwszą rocznicę swego istnienia.

WAWRZYNIEC ŻULAWSKI

ROK PRACY ORKIESTRY FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

Pamiętamy dobrze sytuację w latach 1947—1950, gdy dawna orkiestra warszawska obsługiwała jednocześnie Filharmonię i Operę. Orkiestra ta nie mogła podjąć ciężarów obowiązków, które nakładano na nią w tych dwóch coraz bardziej rozwijających się placówkach muzycznych. Próby operowe i codzienne przedstawienia musiały się z konieczności odbywać ujemnie na ilości i regularności prób poświęconych koncertom filharmonicznym. Programy przygotowywane były pośpiesznie, co wpływało na obniżenie się poziomu artystycznego koncertów.

W połowie roku 1950 zapadła słuszną decyzją: stolica musi mieć dwie orkiestry symfoniczne — oddzielną dla Opery i dla Filharmonii. Większą dawną orkiestrę utworzyła zespół pracujący wyłącznie na użytek Opery, najlepsi pozostali jako kadra nowej Filharmonii. Zaangażowani do Warszawy Witold Rowicki, jeden z najwybitniejszych dyrygentów młodszej generacji, zajął się energicznie organizowaniem oddzielnej orkiestry.

Pamiętamy, z jaką niecierpliwością oczekiwaliśmy pierwszego występu, tym więcej, że w wyniku wspomnianych wyżej koniecznych przeobrażeń działalność Filharmonii została jesienią 1950 r. na kilka miesięcy zawieszona, co spowodowało nienotowany od lat zastój w warszawskim życiu muzycznym.

Montowanie zespołu, przygotowania i próby trwały aż do końca roku, aż wreszcie — 12 stycznia 1951 r. — młoda orkiestra filharmoniczna odbyła swój pierwszy publiczny debiut.

Debiut był niezwykle udany, przyjęcie ze strony publiczności i krytyki — więcej niż serdeczne. Ten serdeczny, ciepły klimat, jaki otaczał orkiestrę filharmoniczną od samego początku, otęcza ją w niemiernym stopniu i dzisiaj. Warszawska publiczność od pierwszych chwil uznała zespół za „swoją” orkiestrę, darząc sympatią, życzliwym zainteresowaniem, ciesząc się z jej postępów, odniesionych sukcesów. To co tak ujęło słuchaczy, to był nie tylko fakt, że już na pierwszym koncercie orkiestra przedstawiała stosunkowo dobry poziom wykonawczy. To przede wszystkim atmosfera entuzjazmu, atmosfera zdyscyplinowanej, wyteżonej pracy.

Atmosfera ta była w znacznej mierze przyczyną, że orkiestra Filharmonii Warszawskiej w krótkim czasie poczęła osiągać godne uwagi rezultaty. Pierwszym egzaminem było otwarcie Festiwalu Muzyki Polskiej w kwietniu ub. r. Wykonaniem wielu trudnych utworów (wśród nich prawykonanie II Symfonii Baciewiczówny) orkiestra udowodniła, że można jej powierzać odpowiedzialne zadania. Prawykonanie dzieł polskich było w ciągu tego jednego roku dużo, że wymienimy tylko „Obrazy symfoniczne” Mycińskiego i koncert wiolonczelowy Baciewiczówny, a w finale Festiwalu — kantatę „Słowo o Stalinie” Gradsteina i Kantatę Wrocławską Wilkomirskiego. Jeśli otwarcie Festiwalu było pierwszym sukcesem młodego zespołu — to finał był jego prawdziwym egzaminem dojrzałości. Świetnie wykonanie IV Symfonii Szymanowskiego, kantaty „Prorok” Woytowicza i „Symfonii Pokoju” Panufnikowa, a nade wszystko niezaborniana wprost kreacja III Symfonii Szymanowskiego wysunęła warszawską orkiestrę na jedną z czołowych pozycji wśród orkiestr polskich. Przyznanie II nagrody przez jury Festi-

ukaże się obecnie w wydaniu obcojęzycznym. Trwają prace nad monografią-albumem poświęconym Giermymu, a w przygotowaniu jest monografia o Matejce. Kontynuowane będą prace nad „Słownikiem sztuk plastycznych”, którego pierwszy tom ukaże się w roku bieżącym. Tadeusz Dobrowolski złożył monografię „Malarstwo polskie od Stanisława Augusta”; przygotowywana jest również przy współpracy PIS praca zbiorowa z dziedziny historii sztuki pod red. prof. Starzyńskiego.

W dziale wydawnictw teatrológicznych trwają prace redakcyjne nad dziełem prof. Hahna — „Szekspir w Polsce”, bibliografią teatralną Simona, „Pracą aktora nad sobą” Stanisławskiego oraz wyborem recenzji Boya-Zelenkiego.

Na koniec naszych szkicowych informacji pozostawiam produkcję współczesną. W najbliższych dniach ukażą się na półkach księgarskich: powieść o tematyce wiejskiej E. Niżurskiego „Gorące dni” oraz powieść Mariana Ruth-Buczakowskiego o kolejarzach pt. „Pierwsze dni”. Poza tym Anna Kowalska pracuje nad powieścią o Fryczu-Modrzewskim, Michał Rusinek — nad powieścią o Arciszewskim, zaś Wojciech Zukrowski — nad powieścią o Czarnieckim.

Całkowita planów PIW-u nie trzeba chyba specjalnie oceniać czy reklamować, wystarczy przejrzeć uważnie powyższe sprawozdanie, aby zrozumieć znaczenie zaplanowanych pozycji dla rozwoju nowej, socjalistycznej kultury polskiej.

Opracował Grzeski



Orkiestra Filharmonii — dyryguje Witold Rowicki

walu Muzyki Polskiej było słuszną konsekwencją takiego stanu rzeczy i właściwą oceną wkładu artystycznego Filharmonii Warszawskiej w tę gigantyczną imprezę.

Nie należy zapominać również o pierwszym sukcesie zagranicznym zespołu filharmonicznego. W czasie berlińskiego zlotu młodzieżowego odbył on szereg koncertów, zyskując entuzjastyczną ocenę prasy i publiczności. Jeśli doruczymy do tego wybitnie udane koncerty pod dyrykcją Abendrotha, stwierdzić musimy, że dorobek jednego roku istnienia i pracy młodej orkiestry jest naprawdę ogromny. Zespół poczynił w ciągu tego krótkiego czasu imponujące postępy i jeśli w poszczególnych recenzjach wytykaliśmy i wytykać będziemy nadal takie czy inne błędności i uchybienia, to nie dlatego, byśmy tracili z oczu zalety orkiestry i fakt niezwykle szybkiego jej rozwoju, lecz dlatego, że chcemy, by ten rozwój przebiegał w sposób jak najbardziej harmonijny i prawidłowy. I właśnie tego życzymy gorąco orkiestrze i jej kierownictwu na progu drugiego roku jej pracy i wysiłków artystycznych.

Koncert w rocznicę powstania orkiestry (11.XII. 1951.) odbył się w atmosferze uroczystej, a jednocześnie serdecznej. Zarówno dyrygujący koncertem Witold Rowicki, jak i sama orkiestra filharmoniczna oraz solista wieczoru a jej stały koncertmistrz Fryderyk Sadowski (skrzypce) przyjmowani byli przez publiczność nadzwyczaj gorąco.

Na wstępie programu wykonano Piątą Symfonię Beethovena. To wspaniałe dzieło zostało — ogólnie biorąc — dobrze przygotowane. Najbardziej wypadła część pierwsza. Niedociągająca w niej wykazywały wlaszcza smyczki. Natomiast druga część, a szczególnie nadzwyczaj tru-

Przejrzyste akompaniowanie orkiestra w Koncercie symfoniczym Mendelssohna, wykonanym jako następny punkt programu. Wykonawca partii solowej, Sadowski — to skrzypek na dobrym poziomie, o pewnej, czystej i lekkiej technice. Czarujący, pełen romantycznego połotu utwor Mendelssohna wykonał on z lirycznym ciepłem, bezpośredniością i prostotą.

Prawdziwym popisem kapelmistrza i orkiestry było „Boloro” Ravela. Powolne, stopniowe narastanie barw instrumentalnych i potęg brzmienia, które jest głównym założeniem tego utworu, zostało zrealizowane z wzorową jasnością i zelaną konsekwencją.

Nad program wykonano jeszcze „Walc carski” — ten może najpiękniejszy z walców Jana Strausera. Była to pewna niespodzianka w zestawieniu z tak poważnym programem, ale niespodzianka miła, świadcząca przy tym, że i w tego rodzaju utworach orkiestra potrafi wyka-

zać swoje walory.

Wawrzyniec Żuławski

BIAŁA KSIĘGA
o
odrodzeniu imperializmu
niemieckiego

Str. 334 z 9.—

„KSIĄZKA I WIEDZA”

W. I. LENIN
DZIEŁA

Tom 25
Czerwiec — Wrzesień 1917

Str. 576 plót. z 4.50

„KSIĄZKA I WIEDZA”

Z TYGODNIA

STANISŁAW DYGAT

O „SYRENIENIE” NA SERIO

W KRAJU

DO AKCJI POPULARYZOWANIA PROJEKTU NOWEJ KONSTYTUCJI

masowo przystępują amatorskie bryady artystyczne, dla których CRZZ przygotowała specjalne programy. Zespoły teatralne, recytatorskie, chórki i taneczne występują z repertuarem klasycznym i współczesnym, nawiązującym do tradycji rewolucyjnych ruchów społeczno-wywoleńskich oraz obrazujących doświadczenia kulturalny i artystyczny Polki Ludowej.

WYSTAWĘ PRAC PLASTYKÓW FRANCUSKICH

przygotowuje na początek marca b.r. Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Wystawione zostaną m. in. prace postępujących malarzy, które na rozkaz rządu francuskiego policja usunęła z Salonu Jesiennego w Paryżu, prace Fougerona poświęcone Henri Martin oraz prace Picassa.

POLSKIE TOWARZYSTWO PREHISTORYCZNE

przeprowadziło w Łodzi doroczny zjazd delegatów, w którym uczestniczyło 40 osób, reprezentujących ok. 1.400 członków Towarzystwa, zorganizowanych w 10 oddziałach. Na zjeździe omawiano działalność naukową - badawczą archeologów, a m.in. prace w ramach badań nad początkami Państwa Polskiego. PTP wydaje dwa czasopisma i dwumiesięcznik popularno - naukowy „Z otchłani wieków”, oraz rocznik fachowy „Przegląd archeologiczny”. Zjazd dokonał wyborów nowego zarządu PTP z dotychczasowym przewodniczącym prof. dr J. Kostrzewskim na czele.

UŁAMKI MALOWANEJ CERAMIKI CELTYCKIEJ

importowanej z Karpat, kompletne żarna rotacyjne i 100 kg spalonego żelaza, pochodzące z okresu rzymskiego i wczesnohistorycznego, odkopano w Mogile, na terenie Nowej Huty. Na terenie Wyciąży odkryto ok. 150 ziemianek, grobów itp. z czasów od neolitu do okresu wczesnohistorycznego, tzn. na przestrzeni ok. 3 i pół tysiąca lat. M. in. znaleziono tam piec garncarski, w którym wypalano ceramikę oraz narzędzia żelazne z okresu latyńskiego.

949.807 TOMÓW KSIĄZEK

— taki był stan zbiorów centralnej biblioteki naukowej w kraju — Biblioteki Narodowej w Warszawie na dzień 31.XII. 1951 r. Ponadto w zbiorach Biblioteki znajdowało się m. in. 29.207 rycin, 11.807 nut, 6.575 rękopisów.

RĘKOPISY „QUO VADIS” I „STAREJ BAŚNI”

wzbogaciły zbiory Biblioteki Narodowej w r. ub. Pochodzą one z zbiorów Leopolda Kronenberga. Ponadto w r. 1951 nabyto m. in. pamiętnik Narcyzy Zmichowskiej.

STACJA MIKROFILMOWA BIBLIOTEKI NARODOWEJ

sporządziła dotychczas mikrokopie z ponad 3 tys. oryginałów zachowanych w Polsce rzadkich rękopisów i rycin, tworząc z nich centralny zbiór mikrofilmowy. Zamiast bezcennych, łatwo niszczących się unirolitów z odległych bibliotek — naukowcy otrzymują zdjęcia mikrofilmowe, które mogą odczytywać na specjalnym aparacie (tzw. lektor) lub na zdjęciach powiększonych na papierze.

SKRZYPEK CZECHOSŁOWACKI GASPAREK TIBOR

przyszedł do Polski. Wystąpił on z koncertami m. in. w Łodzi i Poznaniu.

KONKURS OTWARTY NA UTWÓR LITERACKI Z ŻYCIA SZKOLNIEGO

ogłasza Ministerstwo Oświaty i Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polskiego przy współudziale Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia”. Utwór w formie powieści, pamiętnika, zbioru nowel, opowiadań, szkiców itp. — może dotyczyć dowolnego okresu. Przewidziane nagrody: od 2 do 6 tys. zł. Szczegóły konkursu: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa, Smulikowskiego 4.

NA SCENACH WARSZAWSKICH TEATRÓW

zobaczymy w pierwszym półroczu b.r. następujące sztuki: Teatr Polski wystawi „Zemstę” A. Fredry w reż. B. Korzeniowskiego oraz „Lalkę” Prusa w opracowaniu scenicznym Z. Leśnodorskiego, w reż. B. Dąbrowskiego. Na scenie Teatru Kameralnego ujrzymy „Eugenie Grandet” wg powieści Balzaka i adaptacji scenicznej A. Arraulta, w opracowaniu A. Wernera. Sztukę reżyseruje B. Dąbrowski. Następną pozycją będzie R. Brandstaettera „Król i aktor” w reż. J. Warneckiego. Teatr Narodowy przygotowuje A. Ostrowskiego „Las” w reż. W. Horzycy, „Zbiegów” H. Auderskiej, oraz wznowioną po raz pierwszy po wojnie sztukę J. A. Kistielewskiego „W sieci”.

Teatr Współczesny wystawi sztukę H. Fasta „30 srebrników” w reż. E. Axera, komedię G. Zapolskiej „Ich

czworo” (sztukę tę reżyseruje w charakterze swej pracy dyplomowej słuchaczka PWST W. Laskowska).

Teatr Powszechny wystawi C. Goldoniego „Oberżytkę” w reżyserii K. Borowskiego, sztukę J. Jurandota „Rozzinka”, Rachmanowa „Niespokojną starość” i Bałuckiego „Grube ryby”.

Ludowy Teatr Muzyczny przygotowuje Szekspira „Poskromienie złośnicy” w reżyserii Z. Sawana, komedię Fredry „Ożenić się nie mogę”, oraz komedię muzyczną Tokajewa „Konkurencja”.

Repertuar teatrów: Ateneum, Teatru Nowej Warszawy oraz Teatru Nowego, w związku z ich reorganizacją, jest obecnie w opracowaniu.

ZA GRANICĄ

WSZECHROSYJSKA WYSTAWA LUDOWEJ SZTUKI STOSOWANEJ

i Przemysłu Artystycznego została otwarta w Akademii Sztuk Pięknych ZSRR w Moskwie. W 12 salach zabrano ponad 2.500 eksponatów: najpiękniejsze wzory wyrobów z kamienia, szkła, porcelany, metalu, drewna i kości, dekoracyjne tkaniny, dywany, koronki i hafty.

TELEWIZORY W KLUBACH KOŁOZOWYCH

okregu moskiewskiego stały się codziennym zjawiskiem: obecnie w okręgu czynnych jest 7 tys. aparatów. Wieczorami kołchoźnicy zbierają się w klubach i na ekranach telewizorów mogą podziwiać sztuki wystawiane na scenach najlepszych moskiewskich teatrów, filmy, audycje z sal koncertowych i ze stadionów sportowych stolicy ZSRR.

Z OKAZJI 150-LECIA URODZIN WIKTORA HUGO

wystawy poświęcone jego życiu i twórczości — przygotowuje się w bibliotekach, szkołach i wyższych uczelniach Moskwy, Leningradu, Czeliabińska, Władywostoku i wielu innych miast radzieckich. Dzieła W. Hugo zostały dotąd wydane w ZSRR w nakładzie 6 milionów egz. w 44 językach.

5-MILIONOWE WYDANIE „NĘDZNIKÓW”

w związku z rocznicą urodzin Wiktora Hugo przygotowuje się w Chinach.

NIEMIECKI FESTIWAL SZTUKI LUDOWEJ

zostanie przeprowadzony w NRD w pierwszym półroczu b.r. Po indywidualnych i zespołowych eliminacjach we wszystkich dziedzinach sztuki finałowe występy odbędą się w dn. 28 i 29 czerwca b.r. w Berlinie. FDGB (związki zaw.) i FDJ wydały odezwę, wzywając do uczestniczenia w Festiwalu wszystkie amatorskie chóry, kora dramatyczne, zespoły taneczne, orkiestry itp. Odezwę podkreśla, że właśnie w okresie, kiedy amerykańska „kultura” dąży w Niemczech Zach. kulturę narodową — przeprowadzenie Festiwalu przyczyni się do dalszego rozkwitu niemieckiej narodowej kultury.

TYDZIEŃ MUZYKI POLSKIEJ W RADIO WĘGERSKIM

został ostatnio zorganizowany w ramach wymiany radiowej polsko-węgierskiej. W imprezie tej wziął udział znany polski kompozytor i dyrygent J. Krenz — dyrygując on orkiestrą symfoniczną Radia Węgierskiego.

PROCES PRZECIWI AUTOROWI KSIĄŻKI „MIĘDZY NARODÓWKĄ ZDRAJCÓW”

Renaud de Jouvenel oraz autorowi przedmowy do tej książki, André Wurmserowi — toczy się obecnie przed XVII sądem paryskim. Proces ten wytoczyła pisarce francuskiej grupa zdrajców z krajów Europy wschodniej, z inspiracji imperialistycznych podżegaczy wojennych. Zarzucają oni autorom książki i przedmowy „obrazę cześć”. Wurmser w oświadczeniu złożonym na rozprawie stwierdził, że dla utrzymania pokoju konieczne jest demaskowanie zdrajców, szpiegów i agitatorów, przygotowujących wojnę — wojnę przeciw krajom, z których pochodzą.

FILM GLORYFIKUJE ZABÓJCĘ BOHATERÓW NASZEGO NARODU

— tak napisali francuscy b. kombatan i b. członkowie Ruchu Oporu, zorganizowani w FFI—FTFP, do władz filmowych. Domagają się oni zdjęcia z ekranu uwyświeltanego w St.-Quen filmu amerykańskiego „Lis pustyni”, którego bohaterem jest hitlerowski generał Rommel.

WYSTAWA SZTUKI RUMUŃSKIEJ W PARYŻU

została otwarta po raz pierwszy od czasu istnienia Rumuńskiej Republiki Ludowej. Patronat nad wystawą objął komitet towarzystwa „Les amis de l'art roumain”, w skład którego wchodzi wybitni malarze i rzeźbiarze francuscy, m. in. Picasso i Auricoste.

PORANEK AUTORSKI ANTONIEGO SLONIMSKIEGO odbędzie się 17 lutego o godz. 11.30 w sali Teatru Kameralnego w Warszawie.

Teatr „Syrena” znajduje się, jak można sądzić, w fazie poszukiwań właściwej dla siebie formy i właściwego wyrazu, waha się między komedią, komedią muzyczną a rewią. Sądząc po wynikach nie są to poszukiwania ślepe ani chaotyczne, towarzyszy im logiczna myśl, świadome realizowanie zamierzeń.

O osiągnięciach teatru w dziedzinie komedii nie mogę niczego powiedzieć, ponieważ żadnej z nich w „Syrenie” nie widziałem. Co do rewii — porównanie poprzedniego programu „Planie dobrodziej” z obecnym „To się pokaże” — wychodzi na korzyść ostatniego, jest to wielki krok naprzód, zarówno w kierunku literackiego opracowania, jak w kierunku wykonania aktorskiego.

Już sama koncepcja całości świadczy pochlebnie o drodze poszukiwań teatru. Ta koncepcja łączy harmonijnie bardzo oryginalne zamierzenia artystyczne z poważnym i celnie ustawionym zamierzeniem ideologicznym. Owa harmonia jest jednym z dowodów, że teatr wyszedł z dzieciecego i niespokojnego stanu tworzenia „na siłę” satyry dostosowanej do potrzeb i wymagań chwili, żmudnego latania „wrodzonego dowcipu” aktualnymi problemami. Wiele ele-



Scena ze skcezu „Wywiad”

mentów takiej łątaniny było jeszcze niewątpliwie w „Planie dobrodziej”. Nawet sam tytuł zawierał w sobie coś sztucznego, kalamburem — ani śmiesznym ani mądrym — zachwał ideologiczną zawartość satyrycznej rewii. Tym razem tytuł ma swobodę i naturalność, wynikał bowiem organicznie z dobrze i słusznie postawionych założeń całości. Wydam się, iż zespół teatru „Syrena” mniej już myśli o tym, co dziś „można”, a więcej o tym, co „trzeba”. Świadczą to o podniesieniu ideologicznej świadomości zespołu, co za tym idzie — pogłębieniu rzemiosła, o artystycznym dojrzewaniu.

Jest zapewne jeszcze wiele niedociągnięć, wiele strzałów trafiających w obręcz tarczy, a nawet poza tarczę. Ale można chyba stwierdzić, że cel jest widomy, a kwestia pełniejszej celności — już sprawą dalszej pracy, dalszego opanowywania techniki.

„Głos Ameryki” czy BBC opowiada o nas jakieś niestworzone bajki? No, „to się pokaże” — na telewizyjnym ekranie — jak jest u nas w rzeczywistości. Taka jest biorąc ogólnie koncepcja ogólna tej satyrycznej rewii. Konferansjer Kazimierz Rudzki stojąc z boku sceny, „przerobionej” przez Henryka Tomaszewskiego na aparat telewizyjny, kręci manetką i łapie zagraniczne stacje. Słyszemy różne igrzyska na ich i nasz temat. — „To się pokaże” — mówi Rudzki, przekręca manetkę i pokazuje na „ekranie” prawdziwy obraz rzeczywistości. Ten znakomity pomysł załamuje się może nieco — zarówno w niedostatecznej jasności inscenizacyjnej — jak i w niedostatecznej celności politycznej niektórych numerów, załamuje się najpoważniej przez wtórczenie wien paru numerów nie mających ani formalnie, ani treściowo nic wspólnego z telewizyjną koncepcją.

Ale w sumie, jeżeli wziąć pod uwagę nowatorski pomysł, jeżeli dołączyć do niego nowatorstwo współgrania w scenicznym wyrazie technicznych efektów (światła i dźwięków), realizację tej telewizyjnej koncepcji należy uznać za udaną.

Co do poszczególnych numerów najbardziej przekonującym świadectwem wyzwalania się teatru z satyrycznego schematu był chyba skcecz „Dwie godziny humoru” Wiktorczyka. Dyrektor fabryki zamawia dla robotników rewii humoru. Zastępuje się, że wszystko musi być bardzo śmieszne, ale kiedy zaczyna przeglądać z dyrektorem teatru program, domaga się coraz nowych aktualnych wstawek z terenu jego pracy — jak sprawa wykonania planu, sprawa kadr, współzawodnictwa itd., budzą się w nim coraz nowe wątpliwości, które na koniec doprowadzają do tego, że wszystkie numery zostają skreślone, a zostaje tylko jego słowo wstępne o wykonanym planie.

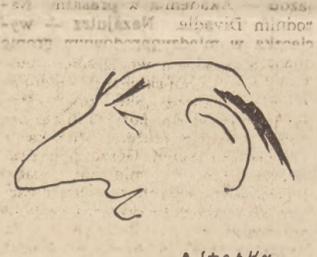
Ważny jest tutaj nie tylko sam tekst skcezu, ale bardziej jeszcze bodaj — sposób, w jaki Stefan Witas odegrał swoją rolę. Ów dyrektor fa-

bryki, w jego wykonaniu, był przy całej swej chwycieści postacią sympatyczną, czuło się w nim „swojego człowieka”, jeszcze niewyrobionego, niepewnego siebie, ale pełnego najlepszych chęci. Jego konflikt między wyłącznym zainteresowaniem sprawami fabryki a świadomością konieczności potrzeb kulturalnych jest konfliktem nieantagonistycznym. Witas stworzył postać żywą i prawdziwą. Z śmiechności, w jaką popada, śmiejemy się, ale śmiejemy się z sympatią, widzimy bowiem perspektywę, w których ów dyrektor ustawia sobie sprawy jak należy. Dotąd na ogół w tego rodzaju skcezu taki dyrektor musiałby okazać się czarnym charakterem, wrogiem klasowym, zapewne świadomym sabotażystą i szpiegiem.

Prawie wszystkie skceze tej rewii są dobre i stoją na wysokim poziomie techniki pisarskiej, jednak nie wszystkie są dostatecznie trafne ideologicznie. Widać to nawet w dobrym skcezu „Kadry”, który śmiało można nazwać zawrotnym majstersztykiem techniki, ale którego wysmienity pomysł rozprasza się w przykładzie nazbyt blahym. Trudno tu jednak pod adresem Gozdawy i Stepnia nie dodać paru ciepłych słów. Ta spółka autorska dba o rozwój swojego literackiego rzemiosła; jeżeli dołączy się do niego więcej wnikliwości i celności w chwytaniu typowych konfliktów współczesnych, może stworzyć rzeczy naprawdę znakomite.

Słabszą jest satyra na schematyczną powieść pt. „Pozytywny bohater”. Postacie z powieści, które odwiedzają autora czyniąc mu wyrzuty za to, że je uschematyzował, same w rezultacie mające być przeciwstawieniem schematyzmu, popadają w okliwą jałowość.

Godnym za to wyróżnienia jest skcecz „Wywiad” Wilińskiej i Polnowskiego, bijący z kolei w schematyczny dziennikarski. Można by tu jednak zarzucić brak dostatecznej precyzji inscenizacji, która zbyt słabo odcina głupstwa, poddyktowane produjacej dojarce przez dziennikarza, od jej własnych rzeczowych wypowiedzi. Możliwe też, że kontrast ten zatarta trochę przesadną stylizacją B. Halmirskiej. Ze skcechow antyimperialistycznych najlepszy obok „Transakcji” i znakomicie powiązany z koncepcją telewizyjną jest „Dziki Zachód”. Autor w programie nie podany. Czyżby to była skromność dyrektora teatru?



A stopka

rys. Andrzeja Stopka

Henryk Tomaszewski

„Słabszą stroną rewii jest balet i piosenka. Borkowski, sam znakomity tancerz, nie potrafi ciągle jeszcze stworzyć w swoich układach interesującej koncepcji i atrakcyjnego stylu. Frustrujące zwiewnie panią, pozostając w niejasnym konflikcie z niedołężnym chłopakiem, cóż, to już widzieliśmy poprzednim razem.

Prawdziwym nieporozumieniem jest taniec (w układzie i kostiumach Kwapiszewskiej) „Wianki”. I to nieporozumieniem integralnym. Te „Wianki” miały być podobno jakimś tańcem prasłowiańskim. Jakżeż to? Więc telewizja już tak daleko się posunęła, że przenika nie tylko przestrzeń, ale i czas — do samej prasłowiańszczyzny? To już nazbyt dawno odskakuje od całości koncepcji. Ale nie tylko o to chodzi. I stylizacja kostiumów, i muzyka, i sam układ jest dowolną fantazją, która nie łączy poszczególnych elementów w podobną do czegośkolwiek całość.

Piosenek właściwie nie było. Owszem, coś tam śpiewali, ale doprawdy, nie wiem co. Nie zapamiętałem ani słów, ani melodii, ani sensu. To nie są piosenki, które widzowie zabieraliby ze sobą po przedstawieniu i przekazywałyby ulicy. A powinny takimi być, zwłaszcza, że „Syrena” ma tu dobre i chęci i tradycję.

Co do łącząca wolę tego zdolnego aktora na scenie dramatu, ku której nawet w skcezach ponosi go temperament: Wydaje się, że niechętnie schodzi ze sceny, że nie zdążył się rozegrać. Posiada on wiele naturalnej prostoty i świeżości, szkoda, by te zalety manierował w niewłaściwym dla siebie „emplois”. Właściwym jego miejscem jest scena dramatu, chociaż trening satyryczny nie zawadzi.

Sztuka Adolfa Dymyśa wymaga chyba specjalnej rozprawy. I doczeka się jej z pewnością. Ale nie prędko jeszcze, bo Dymyśa wciąż rozwija się, jeśli można tak powiedzieć o artyście, który ma oprownowane rzemiosło w sposób doskonały. Za każdym swym pojawieniem zaskakuje nas czymś nowym i niezwykłym. Po jego „Bażancie” do tekstu Slonimskiego publiczność przerwała entuzjastycznymi brawami przedstawienie na dobre kilka minut. Niewątpliwie brawa te należały się przede wszystkim Dymyśowi, gdyż tekst — acz dowcipny — był politycznie bezbębny.

Srodze zawiódła nas Stefania Górka. Dała nam bowiem ledwie zakosztować w krótkim skcezu swego błyskotliwego talentu. Stworzyła przepyszną karykaturę niegrzecznego dziecka, ale tym wznieciła tylko naszą chęć, by podziwiać ją dłużej. Skcecz „C.D.D.”, o którym mowa, należy do najudniejszych numerów programu, stanowiąc trafny przykład ostrej satyry na naszych wewnętrznych szkodników.

Jankowski przeplatał poszczególne numery znakomitym w pomysł i wykonaniu przemówieniem na temat konieczności ograniczenia się w przemówieniach. Ale prawdziwie zabłysnął w krótkim, ledwo zaznaczonym epizodzie chuligana-bikiniarza w skcezu „Wielki mecz”. Sam ów skcecz należał do jednego z błędów programu. Wyciągnięto go z lamusa i to nie wiadomo po co. Jest nie tylko słaby, ale i pozbawiony jakiegokolwiek sensu i morału. Wydaje się, że swym znakomitym epizodem Jankowski zarysował projekt takiego sensu. Chuligaństwo na meczach sportowych to zagadnienie wciąż niestety aktualne i ważne. W tym sensie powinna być „Syrena” skceza przerobić i ustawić.

Olśza, zawsze najlepszy w piosenkach, nie został tym razem właściwie wykorzystany. Z całego wyróżnionego zespołu warto jeszcze wyróżnić Miroslawę Krajewską, która w świetnej scenie muzycznej „Trzy melodie” zabłysła ciekawym talentem charakterystycznym.

Finał, w którym Marszałówna recytuje piękny wiersz Slonimskiego-



rys. Anna Rembacz

Kazimierz Rudzki

go na tle maszerujących na ekranie tłumów, trochę niejasny. Miał być zdaje się powiązany z poprzednim numerem przy pomocy efektów akustycznych i świetlnych. Ten głos miał się przebić przez ściany obcych nam wrzasków. Coś tu nie wyszło. Mimo to finał wywarł pewne wrażenie dzięki dobrej recytacji, i wymownie trafne, optymistyczne nastroje.

Warto tu jeszcze podkreślić ważki fakt współpracy satyrycznej jednego z najwybitniejszych naszych pisarzy, Antoniego Slonimskiego. Niezależnie od korzyści i wartości, jakie przynosi to teatrowi, Slonimski pokazuje faktem swojej współpracy, że satyra jest gatunkiem literackim, nie mniej zaszczytnym od innych.

Oprawa sceniczna i kostiumy Henryka Tomaszewskiego świadczą o wielkiej skali i wielkich możliwościach tego artysty. Znakomite efekty przy najoszczędniejszych środkach, jak w skcezu „Wizyta” lub „Warszawa po Warszawie”, świetne i śmiało rozwiązane finały, wszystko to razem kwalifikuje Tomaszewskiego nie tylko na autora kostiumów i dekoracji, ale i współtwórcę przedstawienia.

Stanisław Dygat

KORESPONDENCJA

O OCENĘ „TOPIELI”

W jednym z ostatnich numerów „Nowej Kultury” ukazała się recenzja książki Zofii Drożdż-Satanowskiej pt. „Topiele” ob. Andrzeja Kijowskiego. Czytałam „Topiele” i mogę powiedzieć, nie objętnie, i dlatego recenzja ob. Kijowskiego zdziwiła mnie ogromnie. Jest moim zdaniem niesprawiedliwa, niesłuszna, błędna.

Andrzej Kijowski wyszedł z niewłaściwego punktu widzenia i popelił, według mojego skromnego sądu, pomyłkę i to nie za bardzo ambitną...

Swojego czasu, bodaj że zeszłego roku, w „Żołnierzu Polskim” ukazała się wypowiedź samej autorki na temat „Topieli”. Mówiła tam ona, podkreślając, iż bohaterem „Topieli” jest Topiele — wieś, Topiele — symbol, Topiele — sprawa, która z przemożną siłą oddziaływała na wszystkich ludzi, jacy podpadają w jej orbitę, ustawiając ich po tej, lub po tamtej stronie. Michaś, Marysia, Hanusia są tylko przedstawicielami inteligencji, o której reszta sama autorka mówi iż są elementem najbardziej chwycijnym i najmniej konsekwentnym. Czynnikiem z nich głównych postaci, a nawet głównych bohaterów książki zaprowadziło ob. Kijowskiemu na manowce. Dodatkowo, przypadkowo, czy umyślnie ob. Kijowski prawie pominął milczeniem takie postaci jak Kirylo, konsekwentny ze wszystkimi ludzkimi wadami, szlachetny Grzegorz, romantyczny pelen wzlotów i upadków Trofim, doskonali Garberek, wróg Timofiej i odradzający w swej prawdziwie balachowiec Tomia, oraz jego żona, jak zresztą pozostała galeria ludzi: — Stepara, ba-

tuszkę, Zachara, Nauma, gromadę chłopów, masę ludzką. Wszyscy oni razem — to bohaterzy i nie wszystkimi trzęsie, ani też rozkazuje im pani Maria. Nie ona tkź burzliwym i tak ważnym społecznym czyni te życia, którym Zofia Drożdż - Satanowska przyjrzała się dokładnie i z których ziarno prawdy wysłuskała właściwie.

Autorka, pochodzenia chłopskiego i całe życie spędzająca na wsi, z wielkim realizmem, zdaniem moim, przedstawiła życie wsi; (zdaje się, że nieznaną jej życie i środowiska autorki, była główną przyczyną „pomyłki” ob. Kijowskiego...)

Chciałabym, aby moje skromne zdanie, zupełnie niedoskonałe, ale płynące z przekonania, zdanie czytelniczki, która w pewnym sensie „Topiele” propagowała wśród znajomych z ogromnym powodzeniem, przyjęte zostało do wiadomości. „Topiele” wzruszyła mnie i nonszalancki ton, z jakim mówi o niej ob. Kijowski, uderzył mnie przykro, tym bardziej, że w tym samym numerze „Nowej Kultury” minister Sokorski mówi o koleżeńskości i o żyłości krytyki. Myślę, że czytelnicy wypowiedzą się na temat książki, która, jak sam ob. Kijowski podkreśla, jest ambitną, chociaż pomyłką.

Fanny Łoc

W-wa, Wejneria 24 m. 1

SPROSTOWANIE

Upierzejmie proszę o sprostowanie pomyłki w moim nazwisku, którym podpisany jest artykuł „O nowej literaturze francuskiej”, zamieszczony w numerze 5 (z 3 lutego) „Nowej Kultury”. Nazywam się Marcin, a nie Marian Czerwiński.

Marcin Czerwiński

UKAZAŁ SIĘ NOWY, 2172/1952 ZESZYT MIESIĘCZNIKA

„PAŃSTWO I PRAWO”

Przemówienie Prezydenta Bolesława Bieruta na poiedzeniu Komisji Konstytucyjnej dnia 23 stycznia 1952 roku. Uchwała Komisji Konstytucyjnej w sprawie ogólnonarodowej dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Stefan Rozmaryn — Ustawa Zasadnicza Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Paweł Leszak — Konstytucja amerykańska i faszycyzacja Stanów Zjednoczonych. Leon Schaff — O typie systemie i formie procesu karnego. Ludwik Hirsfeld — Nowe metody w dochodzeniu ojcostwa.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA:

Niekatoryje woprosy gosudarstwa i prawa stran narodnoj demokracji (rec. Stefan Rozmaryn): Wilhelm Sauer — System der Recht — und Sozialphilosophie Verfassungen zugute über allgemeine Philosophie und Soziologie (rec. Stefan Rozmaryn): Philip C. Jessup — A modern Law of Nations (rec. Jacek Machowski): Przegląd węgierskich czasopism prawnych (W. W.) Orzecznictwo Cywilne, Karne i Arbitrażowe oraz Polska Bibliografia Prawnicza. Do zeszytu włączone są dodatki rosyjski i angielski, zawierające tłumaczenia projektu Konstytucji.